

NRLF-1  
MAIN

ROŚCISZEWSKI.



BAJKI i BAŚNIE

WDÓW SŁOWIAŃSKICH

ODRODZENIE 1922





III, I, 7, 53

370



# BAJKI I BAŚNIE LUDÓW SŁOWIAŃSKICH

DLA DZIATWY POLSKIEJ

OPRACOWAŁ

MIECZYŚLAW ROŚCISZEWSKI

ILUSTROWAŁ STANISŁAW TENEROWICZ

BAJKI I BAŚNIE: Bośniackie — Bułgarskie — Chorwackie —  
Czeskie — Kaszubskie — Łużyckie — Morawskie — Polskie —  
Rosyjskie — Ruskie — Serbskie — Słoweńskie.

LWÓW 1922

SPÓŁKA NAKŁADOWA „ODRODZENIE“

Printed in Poland





BAJKI I BAŚNIE  
LUDÓW SŁOWIAŃSKICH



BERKELEY  
LIBRARY  
UNIVERSITY OF  
CALIFORNIA





## 1. BAJKI BOŚNIACKIE.

### BRACIA BOHATEROWIE.

Za bardzo dawnych czasów, kiedy po wielkich miastach nie było jeszcze takich porządków, jak dzisiaj, często szerzyły się różne zarazy i ludziom strasznie dawały się we znaki. Zarazy te nazywano. powietrzem i jak po dziś dzień, tak i dawniej modlono się: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas Panie!”

Otóż przyszedł raz taki mór, taka bladolica choroba i do szczętu spustoszyła Mostar, stolicę Bośni i Hercegowiny, dwóch krajów słowiańskich, na półwyspie Bałkańskim.

Ze wszystkich mieszkańców Mostaru ocalała tylko jedna wdowa z dwoma synkami. Jeden miał na imię Chrysto, a drugi Dżuro. Wdowa nie mogła wyżywić sierót. Roboty niema, a chleb podrożał. Co tu począć? Myśli i myśli biedaczka, aż postanowiła nareszcie oddać Chrysta w służbę cesarzowi, a Dżura sułtanowi.

Minęło lat dziewięć. Chłopcy wyrosli na silnych i urodziwych młodzieńców. Przez cały ten czas nie widzieli się ani razu ze sobą. Sułtan wydał wojnę cesarzowi. Na obszer-

nej równinie zebrały się dwie armje nieprzyjacielskie i stoja naprzeciw siebie. Z armji cesarskiej wysuwa się dzielny, rosły jeździec, pędzi ku szeregom wroga i wyzywa rycerzy na pojedynek. Wyzwanie przyjmuje dziewięciu rycerzy, ale jeden po drugim pada, krwią zbryzgany. Sultana zgroza przejmuję. Zginął sam kwiat jego wojska. Na dany rozkaz, heroldowie zaczynają objeżdżać szeregi i wołają: „Czy nie masz między wami rycerza, którego wykarmiła matka — bohaterka? Jeśli jest silny z najsilniejszych, zuch nad zuchy, niech wyjdzie na bój za padyszacha, a padyszach t. j. sultan, nagrodzi go złotem i mianuje go bejem“.

Słyszy Dżuro, wezwanie i staje w namiocie sultana. Sultan kochał Dżura jak syna.

— Czy to prawda, mój ojczy, że uczynisz bejem tego, kto pokona wroga? — zapytał Dżuro.

— Prawda, synu, — odparł padyszach.

Dżuro siada na swego czarnego jak węgiel konia, podjeżdża do wojska nieprzyjaciół i wyzywa rycerza na pojedynek. Rycerz wyjeżdża; krzyżują się oszczepy i — pęknięte, spadają na ziemię. Rycerze chwytają dzidy i dzidy starszy się ze sobą, rozlatują się w drzazgi. Do szabli — i szable pękają na połowę. Rycerze zeskakują z koni i biorą się za bary. Tarcze trzeszczą i łamią się, pióra helmów fruwają w powietrzu... Bój trwa dzień cały. Żaden ani raniony, ani pokonany.

Wyczerpani z sił, rycerze siadają do wypoczynku.

— Powiedz mi szlachetny rycerzu, — rzecze Dżuro, z jakiegoś ty kraju? Kto jest twoją matką? Jaki naród wydał takiego bohatera?

— Słyszałeś może, iż kilka lat temu mór bladolicy o węzowych ślepiach spustoszył Mostar, mój gród rodzinny. Ocalała jedynie moja matka z dwoma synkami. Nie miała nas czem wyżywić i oddała mnie...



Chrysto, bracie mój! — zawołał rozradowany Dżuro i porwał brata w objęcia.

Wojsko z obu stron patrzy i dziwi się. Wrogowie, którzy walczyli tak zawzięcie, ścisną się nagle. Oto usiedli na zielonej murawie, otwierają flaszki, piją wino, tracą się.

— Cóż teraz porzniemy? — zapytuje Dżuro.

— Idź ty, bracie, do padyszacha, a ja pójdę do cesarza i poprosimy ich o zawarcie pokoju. Przecież dwaj bracia nie mogą podnosić ręki wzajem na siebie, choćby nawet na polu bitwy.

Idzie Dżuro do sultana Chrysto do cesarza, a zabieg ich zostają uwiecznione skłóceniem pomysłowym. Monarchowie zawarli pokój.

— Czemu wynagrodzimy braci — bohaterów, — zapytuje sultan, wyręcając dzień zgody do byłego wroga.

Ty nagrodił swego, jak uważasz, a ja — imamuję swego generała, — odpier cesarz.

— Hie, nie należy rozgrzać braci. Ja dam im ziemię, a ty daj pieniędzy.

I tak się stało. Chrysto i Dżuro otrzymali cały powiat na własność dziedziczną, udali się po małżonkę i zaczęli sobie żyć, jak u Pana Boga za parcem.

Od nich to bierze początek ród, który po dziś dzień zażywa szacunku w całej Bośni.

## IWO I ANICA.

Turcy zajęli stolicę bośniacką zabiłi wartowników i wprowadzili szlachtę królewską.

Cudnego ciropca Iwa, odzianego w purpurę, odprowadzili do sultana, zstowioną Anicę — do sułtanki.

Oto już dziesięć lat. Jak Iwo dręczy się w niewoli Anica także też, nie chce ani żyć, ani tańcować.





— Córko moja, — ozwie się sultanka, — dlaczegoś tak smutna? Może masz mało pereł i złota, a może brak ci materji jedwabnej do haftu?

— Nie brak mi ani pereł, ani złota, ani materji jedwabnej do haftu. Brak mi brata, mego cudnego lwa, — odpowiada Anica.

— Wstań o świcie, okryj się welonem i idź na łąkę, tam znajdziesz lwa.

Anica wstaje o świcie, okrywa się welonem i idzie na łąkę.

Lwo śpi na zielonej murawie. Błady, jak kora brzozowa.

Anica pochyła się nad nim i roni łzy na jego czoło blade.

— Dzięki Ci, Boże, za rosę, którą mi zsyłasz dla odświeżenia, — szepcze chłopiec.

— To nie rosa, słodki mój lwo; to łzy twej biednej Anicy.

Lwo ocknął się i padł w objęcia siostry.

— Lwo, mój drogi, czemuś tak smutny?

— Za rodzoną tęsknię. Sił mi już brakuje.

— Czy to nie twój koń stoi tam przy drzewie; jak mleko biały? Uciekajmy drogi braciszku!

Mkną jak strzała brat z siostrą. Trzy dni jadą, a trzy noce śpią w lesie na miękkim mchu.

O świcie dnia czwartego zbiegi ujrzeni nareszcie pola rodzinne. Trzystu żniwiarzy sprząta zboże. Nie słychać pieśni... Żniwiarze wszyscy w żałobie...

Brat i siostra stają przerażeni.

— Czemużeście tacy smutni? Dlaczegoście w żałobie? Jakie nieszczęście dotknęło was, drodzy ziomkowie? pytają żniwiarzy.

— Nie masz dla nas radości od chwili, gdy Turcy zajęli naszą stolicę i porwali śliczne dziatki króla, — czarnookiego lwa i złotowłosą Anicę.

— Głodniśmy, — mówią młodzi podróżni, — nakarmcie nas, zacni żniwiarze, a wkrótce radość was odwiedzi.

— Oto pałac naszego króla. Zastukajcie do bramy, a spotka was gościnne przyjęcie.

Iwo podnosi srebrny młotek i stuka do bramy. Bramę otwiera niewolnica w żałobie i wpuszcza jeźdźców.

Dziędziniec dworski zarósł trawą i chwastem. Na gołym kamieniu, przed drzwiami, siedzi królowa i gorzko płacze. Na wieży, przy oknie, król stoi. Włosy ma bielsze od śniegu z gór bośniackich; policzki mu wyschły; oczy zapadły...

Królowa patrzy na pięknych przybyszów i płacze jeszcze głośniej. Tak przypomnieli jej dzieci...

Niewolnica w żałobie prowadzi gości na górę, do wielkiej sali... Na ścianie wisi bandura, ozdobiona perłami. To bandura Iwa. Iwo ją poznaje.

Król schodzi z wieży na spotkanie gości.

— Tato! Mamo! — wołają królewicz i królewna, rzucają się w objęcia rodziców. Rodzice poznają nareszcie dzieci swoje.

Już królowa nie płacze i król nie wzdycha. Wszyscy weseli dokoła. Żniwiarze jak dawniej śpiewają pieśni.

## ŚMIERĆ GŁODOWA.

Wieść okropna o zbliżaniu się Turków zgrozą przejęła wieś całą.

Porzuciwszy domy, mieszkańcy uciekli w góry i gdzie kto mógł.

Przez trzy dni i trzy noce Marko Klucz i jego rodzina nic nie jedli. W gardle im zaschło i język zdrętwiał.



Ponury i milczący siedzi Marko na skale. U stóp jego Milica, jego żona. Biedaczka — dogorywa. Z rozpaczą wpatrują się w nią dwaj synowie.

Cisza dokoła. Nie słyhać strzałów. Kule oszczędziły nieszczęśliwych, lecz nie oszczędził ich głód.

Ciche tchnienie, istny powiew wiatru, dobiega uszu Marka. Marko drgnął. To ostatnie tchnienie Milicy, jego żony.

W posępnej rozpaczach siedzi Marko z głową, wspartą na dłoni. Syn jego Jowo odszedł na ubocze, ażeby lzy ukryć. Ale cóż łązo drugi syn jego? Co się z nim stało?... Twarz mu zbladła, upadł na kolana... Chwieje się, jak trzcina, poruszana wiatrem... Konwulsyjną ręką szarpie odzież na piersiach.

Szybko podbiega doń Jowo. Wrywa chandzar, przecina sobie rękę i zbliża krwawiącą ranę do spieczonych ust brata...

Życie, co już uciec miało, znowu wstępuje w młodzieńca. Wstaje też i Marko.

— Krzepcie się chłopcy, — powiada. Idziem na wroga. Lepiej jest umrzeć na polu bitwy, niż za darmo paść tutaj.

Zwłókszy się ostatnim wysiłkiem, wszyscy trzej wpadli na wroga i drogo sprzedali swe życie.

## ŻEBRACZKA.

Stara Bojana mieszka w odległej chacie bośniackiej i żyje z jałmużny. Otrzymaawszy datek mówi zazwyczaj:

— Effendi, to, coś uczynił dla ubogiego, toś uczynił dla siebie.

W sąsiedztwie mieszka bardzo bogaty Turek. Ma on żonę i dwóch synów.

Codziennie żebraczka chodzi do konaku tureckiego beja i po otrzymaniu datku, mruczy bez zmiany:

— Effendi, to, coś uczynił dla ubogiego, to uczyniłeś dla siebie.

Sprzykrzyło się żonie beja słuchać ciągle jednego i tego samego.

— Kłamie stara — myśli Turczynka; — wkrótce sama przekona się o tem.

Wzięła mąkę, ugniotła bułkę i wsypała do niej truciźny. Przyszła żebraczka, dostała bułkę i na odchodnem powtórzyła, jak zwykle:

— Effendi, to, coś uczynił dla ubogiego, to uczyniłeś dla siebie.

Tegoż samego dnia bej z synami udał się na polowanie. Skwar był wielki, chłopcy się pomęczyli, a spostrzegłszy Bojanę przed drzwiami chaty, zapragnęli u niej wypocząć.

Biedna staruszka, nie spodziewając się takiego zaszczytu, rozplakała się z radości.

— O złote moje dziatki, o śliczne królewicze, — mówiła, — wypocznijcie sobie w chacie starej Bojany, a chata jej w pałac się zamieni.

Wpuściwszy chłopców, staruszka przyniosła świeżej wody źródlanej i z szafy wyjęła bułkę otrzymaną zrana.

— To upiekła wasza mamusia, — rzekła z dumą. — Jedzcie, jasne gwiazdeczki moje!

Dzieci chciwie zabrały się do bułki i nasycone, wróciły do domu.

Tegoż dnia chwyciły ich straszne kurcze i oba chłopcy umarli.

Zrozpaczony ojciec posłał po żebraczkę.

— Czem nakarmiłeś moich synów? — zapytał gniewnie.

Bojana popatrzyła nań zdziwionemi oczyma. Wszak dzieci spożyły chleb, upieczony przez ich matkę, czyliż więc mogły zachorować z tego?

I gorzko jąla oplakiwać zmarłych chłopców.

Ale matka zrozumiała wszystko... Zajęta zgrozą przypomniła sobie słowa żebraczki:

— Coś uczynił dla ubogiego, to uczyniłeś dla siebie!

### ZŁE OKO.

Milicz skończył lat dwadzieścia. Jest piękny i męzny. Matka zowie go „światłem swoich oczu“. Milicz postanowił się ożenić. Jeździ tu i ówdzie, widzi mnóstwo ładnych dziewcząt, ale na swoją trafić nie może. Milicz umie cenić siebie i jest bardzo wymagający.

Milicz ma pobratyma młodego Wuka. Zamienili się krzyżakami i są braćmi na całe życie. Takie związki często zawierane bywają u Słowian Południowych pomiędzy młodymi ludźmi. Nawet chłopiec i dziewczyna wiążą się w ten sposób. On wtedy staje się pobratymem, ona — posiostrzymą. Toż samo, co brat i siostra; ale się pobrać nigdy nie mogą.

Wszak wie, że Milicz chce się ożenić; wie także, że dotąd nie trafił na swoją. I mówi do Milicza:

— Zobacz moją posiostrzymę Leposawę. Jeżeli i ona nie przypadnie ci do gustu, to znaczy, że nigdy się już nie ożenisz. Łagodna, pracowita, wesola jak jaskółka i w dodatku — córka bogatego ojca. Taka jest Leposawa. Jedź, bracie, do Bożydara Nowaka i staraj się o rękę jego córki.

Milicz chętnie rad ujrzeć Leposawę, ale nie tak to łatwo. Dziewczęta bośniackie pracują w polu narówni z mężczyznami, ale nie śmia rozmawiać z nimi. Tylko na Boże Narodzenie, na Wielkanoc i w święto „Sławy“ na



część patrona wioski, młodzież może zamienić ze sobą słów kilka. Wtedy to właśnie zawiązują się znajomości i urządzają wesela.

Raniutko, ledwie że świt spłonął, Milicz siada na konia i jedzie za góry do Kołaszyna, gdzie świętują „Sławę”. W jaskrawych świątecznych strojach dziewczęta schodzą z gór okolicznych. Po nabożeństwie, zbierają się na placu przed kościołem i tańczą swoje wdzięczne „koło”. Jedna drugiej kładzie prawą rękę na ramieniu, a ujawszy się lewą pod boki, wiją się jak długa, różnobarwna wstęga, poczem zamykają koło.

— Oto Leposawa, — mówi Wuk do Milicza, wskazując na dziewczynę, ładniejszą od innych.

Milicz już ją spostrzegł, ale w czasie tańca nie może zbliżyć się do niej. Otóż i taniec się skończył.

Wstydlive dziewczę chowa się za węglem, Milicz podnosi ręce nad głowę, szerokie rękawy koszuli spadają mu i zasłania ją Leposawę jak firanką.

Milicz wraca do domu i mówi do ojca i matki:

— Matko, znalazłem ci pomocnicę, a tobie, ojczy, służę. Dla was, bracia i siostry, dobrą siostrę. Jest to córka Bożydara Nowaka, Leposawa.

Milicz zbiera swatów i druchny, ubiera się jak najładniej i jedzie w konkury. Wuk, pobratym, prowadzi orszak ze sztandarem na czele. Jest chorążym. Wszyscy odziani odświętnie; konie i siodła ubrane są w kwiaty i wstęgi. Cały deszcz wstążek spada z szyjki butelki z wódką, którą starszy swat trzyma w rękę.

Przy spotkaniu weselnego orszaku, przechodnie witają przejeżdżających.

— Sława zwiastunom wesela!

— Szczęśliwej drogi!

— Niech nasze wrogi poginą!

Swat nalewa każdemu po kieliszku wódki i orszak jedzie dalej.

Jadą dzień, jadą dwa, aż dojeżdżają nareszcie do mieszkania Nowaka. Starzec siedzi na ławeczce pod drzewem orzechowem i wita gości.

— Dokąd leci błękitno-skrzydły orzeł, gdzie szuka gołąbki?

— Gołąbka, której szukamy, jest tu, pod twoim dachem; to twoja córka, Leposawa. Przywieźliśmy za nią bogaty okup, Milicza.

— Oby cię Bóg błogosławił, mój synu, — mówi starzec. — Słońce, które mnie świeciło dotąd, niech tobie świeci teraz. Otwierajcie wrota, przypuszczajcie kochanych gości, — zwrócił się Nowak do swej czeladzi. — Nakrywajcie stoly, podawajcie gościom co jest najlepszego, a koniom starego jęczmienia.

Trzy dni trwała uczta w domu Nowaka; czwartego dnia bracia przyprowadzili Leposawę do narzeczonego. Matka Leposawy stała w kącie i płakała.

— Czemu płaczesz droga mateczko, — pyta ją Milicz. — Małoć dobra u ojca mego, a możemy ja ci nie miły?

— Dość dobra u ojca twego i sameś mnie miły. Ale niedobrze czuje serce moje. Oczarowanym jest dom nasz nieszczęsny; złe oko rzuciło nań urok. Dziewięć takich białośnieżnych gołąbek miałam ja przecie; ośm wydałam zamąż, a żadna nie dojechała żywa do domu.

— Bądź spokojna, mateczko. Będę strzegł twojej białej gołąbki, jak źrenicy w oku.

Matka przestała płakać, a Leposawa zaczęła rozdawać gościom podarunki: narzeczonemu — koszulę, wyszywaną złotem i jedwabiem, jego ojcu — płaszcz, swatom i druchnom — chusteczki.

Leposawa siada na konia jak śnieg białego; Milicz — na konia, jak węgiel czarnego. Pod siodłami czapraki

z czerwonego aksamitu, zdobne złotym sztychem i chwastami. Czarne kędziory Milicza pokrywa czapeczka z kilku brylantów, na których igra promień słoneczny. Z główki Leposawy spływa jedwabna zaslona, obszyta złotem. Piękniejszej pary nie widziano w Bośni.

Z muzyką i śpiewem pochód wyrusza do domu pana młodego. Milicz jedzie na czele. Zdaje mu się, że kroczy do raju. Za nim podąża Leposawa pod opieką swego pobratyma Wuka. Nagle wydaje okrzyk i błednie.

— O Wuko, mój pobratymie. Oczy mi mgłą zaszyły, członki sztywnieją, nie mogę dłużej utrzymać się na siodle. Zdejm mnie z konia i złóż na miękkiej trawie pod sosnami. Słońce mnie już nie lubi, ziemia woła mnie do siebie.

— Stójcie, bracia! — zawoła Wuk. — przerwijcie muzykę i śpiewy. Mojej posiostrzymie źle się zrobiło. Słońce już jej nie lubi, ziemia woła ją do siebie!

Przypada Milicz, zdejmując z konia swą piękną narzeczoną i składa ją na miękkiej trawie. Leposawa westchnęła i dusza jej odbiegła.

Drużbowie zeskoczyli z koni, chandżarami, krzywymi nożami, wykopali grób i złożyli w nim Leposawę, twarzą do wschodu. W głowach zasadzili krzak róży, w nogach odkopali źródło, mogiłę zarzucili dukatami. „Niech ubogi zabierze złoto, młodzież niechaj się w kwiaty ustroi, a kto zmęczony podróżą, niech się ze źródła napije, niechaj wypocznie na murawie pod sosną”.

Pożegnał się Milicz z towarzyszami i zadawszy koniowi ostrogi, pocwałował do domu. Już zdaleka ujrzała go matka i wyszła na jego spotkanie.

— Złoty mój synu, światło oczu moich, gdzież twoja pani, dla mnie pomocnica, sługa dla ojca, a miłą siostra dla braci i sióstr twych? Któż wody przyniesie, kto stół nakryje, ażeby zmęczone ręce starej matki wypocząć mogły?



— Nie mam narzeczonej ni pani, nie masz i ty pomocnicy, droga matko. Leży moja Leposawa w ziemi wilgotnej, w lesie pod sosną. Pościel i mnie łożę rodzicielko, iżbym także mógł spocząć i zamknąć znużone powieki.

Milicz położył się i zasnął na zawsze.

Co rano, gdy wstaje słoneczko rumiane, matka Milicza wychodzi na drogę i mówi z radosnym uśmiechem:

— Oto synowa moja, Leposawa, idzie do źródła po wodę.

Gdy księżyc wchodzi, stara patrzy nań i mówi:

— Oto Milicz, światło oczu moich, wybiera się na polowanie. Toż to się zwierzem obłowi!

Ale nie masz Milicza ani Leposawy; jest tylko ich obrakana matka!



## 2. BAJKI BULGARSKIE.

### TCHÓRZLIWY DJABEL.

Pewien chłop miał bardzo złą żonę. Czego tylko zapragnął, baba musiała mu się zawsze sprzeciwić.

Ale chłop umiał się zdobyć na podstęp. Wychodząc w pole mówił do żony:

— Nie trudź się kochanko, z przynoszeniem mi obiadu, — jakoś mi się jeść nie chce.

I żona punkt o dwunastej zjawiała się z obiadem.

Jednego razu chłop kopał studnię, a na czas obiadu przykrył jamę chrustem, ażeby żona w nią nie wpadła. Na nieszczęście, zapomniał, że do baby trzeba mówić **zawsze naopak**.

— Nie zbliżaj się do studni, — uprzedził żonę. — bo studnia bardzo głęboka.

Wystarczyło to, ażeby żona wpadła na chrust. Oczywiście znalazła się zaraz na dnie dołu.

Żał się chłopu zrobiło baby i rozplekał się. Ale zważywszy, że izami żonie nie pomoże, wziął długi sznur i spuścił go do studni. W tej chwili uchrab, że ktoś za sznur pochwycił i zaczął też ciągnąć do góry. Jakież było jego zdziwienie, gdy zamiast żony, ukazała się ze studni **rogata głowa biesa**.

— Czekaj, wysłuchaj mnie, a zlitujesz się z pewnością, — jął błagać bies, spostrzegłszy, że chłop chce sznur wypuścić. — Było nas w tej jamie siedmioro diabłów: żyliśmy sobie spokojnie; nagle zwała się do nas kobieta, taka zła, że moi koledzy puciekali. Ale ja, na nieszczęście,

jestem kulawy i uciec nie mogę. Zato, spojrz, przez jedną godzinę osiwałem jak gołąb.

— Nie bój się potrafię ja ci się wywdzięczyć za tę przysługę, — ciągnął djabeł — mam tu laseczkę czarnoksięską. Ja się osiedię w córce sultana, a ty uderz ją tą laseczką i ja z niej wyjdę. Sultana cię ozłoci i będziesz mnie pamiętał na wieki.

Chłop tak się ucieszył z laski czarnoksięskiej, że i o żonie zapomniał.

Niebawem wieść się rozeszła, że córka sultana ma w sobie djabła i że nikt nie może jej dopomóc.

Zjawił się chłop, dotknął księżniczkę laseczką czarnoksięską i djabeł z niej wystąpił. Uradowany sultana hojnie wynagrodził zbawcę.

Po niejakiem czasie zaczęto mówić, że córkę jakiegoś króla djabeł opętał. Chłop zgłosił się na dwór króla, ale tym razem laseczka nie przyniosła mu szczęścia. Przekonawszy się, że laseczka nie ma już siły, chłop się zamyslił. Potem, mrugnawszy przebiegle, rzekł do króla:

— Niech Wasza Królewska Mość każe strzelać z armat.

— A to ci na co przyszło do głowy, — drwiąco zapytał go djabeł. — Może sądzisz, że ja się armaty zleknię?

— E, cóż znowu. Nie, widzisz, tylko dziś moja żona tu będzie, więc chcę ją spotkać z honorami.

Zaledwie djabeł usłyszał nowinę, w tej chwili jednym susem wyskoczył z królewny i drapnął, gdzie pieprz rośnie.

## WIELKI WEZYR.

Stojan miał dużo pieniędzy, ale wcale się niemi nie cieszył. Jedyne jego syn był chłopcem złym i występny.

— Biada mi, biada, nigdy nie wyjdiesz na człowieka porządnego, — mawiał Stojan nieraz do syna.



Młody Tomasz był piękny, dowcipny i przebiegły. Dostał się na dwór sultana i tak się umiał postawić, że sultan mianował go swoim wezyrem (ministrem).

Tomasz urósł w pychę i posłał niewolników do ojca z rozkazem, ażeby Stojan natychmiast przybył na dwór wielkiego wezyra.

Stojan mieszkał daleko, o dziewięć dni drogi od Konstantynopola.

— Czego on może chcieć ode mnie? — zapytał starzec.

— Czego chce to chce, a słuchać trzeba, — odpowiedziano mu.

Przyjechał Stojan do Konstantynopola, udał się do wezyra i teraz dopiero dowiedział się, że wezyr był jego synem.

— Dlaczegoż zakłóciłeś mi spokój! Jestem stary i słaby, — rzekł Stojan.

— Jestem wielkim wezyrem, — odparł syn.

— Niech ci Bóg, da szczęście!

— No i cóż ojciec, pamiętasz, mówiłeś, że nigdy nie będę porządnym człowiekiem; a przecież jestem wezyrem.

— Jesteś wezyrem, to prawda, ale ja nigdy nie mówił, że nim nie będziesz. A co do reszty, to jak widzisz, miałem słuszość. Porządny człowiek nie fatygowałby starego ojca, lecz sam pojechałby do niego.

## KOŁO MŁYŃSKIE.

Urosz jest zręcznym strzelcem. Ani zwierz, ani ptak, nic nie ukryje się przed nim.

Pewnego razu wziął strzelbę, zatknął chandzar za pas z pistoletami i udał się w góry.

Niebawem przyszedł na brzeg wielkiego jeziora i zobaczył na falach dziwne zwierzę. Zaledwie zwierzę podплыnęło do brzegu — paf! Zabite.

— Pfuj, zielony koń! — z pogardą zawołał Urosz odwróciwszy się, odszedł.

— Żleś uczynił, wzgardziwszy łupem, — dało się słyszeć z góry — wracaj co żywo i zdejm uzdę z zielonego konia; to uzda zaczarowana.

Urosz spojrział do góry i zobaczył wilę (czarownicę), stojącą na skale.

Wróciwszy do zielonego konia, Urosz zdjął uzdę i poszedł dalej. Spotyka jagnię.

— Zamień się w woła! — rzekł Urosz, uderzając jagnię uzdą i zaklęcie odniosło skutek. Urosz sprzedał woła i pieniądze schował.

Spotyka krowę.

— Bądź rumakiem — i powtórzyło się to samo.

W ten sposób, cokolwiek spotkał, zamieniał na co tylko chciał. Powrócił do domu z pełnym workiem. Żona zaczęła go pytać, skąd ma tyle pieniędzy, on zaś otwarcie wyznał jej całą prawdę.

W nocy, gdy myśliwy usnął, żona dotknęła go uzdą, mówiąc:

— Dotąd ja ci służyłam, a teraz ty mnie posłuż. Stań się psem podwórzowym.

I myśliwy zamienił się w psa. Żona sprzedała psa pastuchowi dworskiemu i pies musiał pilnować królewskiego stada.

Król był bardzo nieszczęśliwy. Wila zrabowała mu wszystkie dzieci. Dowiedziawszy się, że pastuch ma pięknego psa, król kazał go przyprowadzić na zamek i powierzył mu opiekę nad swoim nowonarodzonym synem. Urosz tak dobrze opiekował się małym księciem, że

wili nie udało go się porwać. Uradowany król obdarzył wiernego psa orderem.

Uroszowi strasznie się zachciało pokazać order swojej żonie. A nuż się zlituje i przywróci mu dawną postać, — pomyślał sobie.

Żona, zobaczywszy psa z orderem, rozśmiała się i powzięła myśl splątania mu nowego figla.

— Byłeś dużym psem, — rzekła, uderzając go uzdą, — bądź że teraz małym.

Marny był żywot małego pieska. Nikt go nie karmił, a każdy starał się go kopnąć nogą. Głodny i zmęczony, biedny piesek krążył dokoła swego starego domu. Zobaczyła go żona i rozgniewała się.

— Czego się tu kręcisz, szkaradny psiaku. Masz że zato, — rzekła, uderzając go uzdą; — stań się ziębą.

Ani się domyślała zła niewiasta, że sobie sama nararzyła piwa. Zięba machnęła skrzydełkami i sfrunęła na drzewo, akurat nawprost okien swego domu. Zobaczywszy, że żona wyszła, ptak wpadł do okna, pochwycił dzióbem uzdę i wymówiwszy myślą pragnienie stania się znowu człowiekiem, otrzymał swoją dawną postać.

Wróciła żona. Ujrzawszy męża, strasznie się przelekła.

— Złą jesteś kobietą, — zawołał Urosz, — masz zato!

— Co mówiąc uderzył ją uzdą.

— Bądź szkapą i przez całe życie obracaj koło młyńskie.





## ZŁOTE JABŁKA I DZIEWIĘĆ PAWIC.

Żył sobie król z trzema synami. Na dworze królewskim rosła złota jabłoń, na której co nocy rodziły się kwiaty i dojrzewały owoce. Ale ktoś nieznacznie zrywał je, a król nie mógł pochwycić szkodnika.

Pewnego razu zawezwał synów i rzecze :

— Nie wiem, gdzie mi się podziewają jabłka.

— Stanę dziś na straży i zobaczę, kto je zrywa — oświadczył syn najstarszy.

Gdy się ściemniło, poszedł i usiadł pod jabłonią. Zaledwie jednak jabłka dojrzewać zaczęły, królewicz zasnął; a o świcie jabłka były już zerwane.

Przyszła kolej na najmłodszego brata. Poszedł wieczorem pod jabłoń i wnet usnął. Ale zbudził się około północy, w tej samej chwili, gdy jabłka dojrzewały. Jasność biła od nich taka, jako w dzień. Przyleciało dziewięć pawic. Ośm siadło na jabłoni, a dziewiąta zbliżyła się do królewicza i zamieniła się w dziewicę nieopisaną urody. Porozmawiała z nim dłuższą chwilę bardzo życzliwie i przed odejściem dała mu dwa jabłka, jedno dla niego, drugie dla ojca. Potem zamieniona znowu w pawicę, odfrunęła z pozostałemi ośmioma.

Ojciec ucieszył się bardzo, otrzymawszy jabłko i nie mógł się dość nachwalić najmłodszego syna.

W ciągu kilku nocy królewicz chodził pod jabłoń i przynosił ojcu jabłuszko. Sprzykrzyło się to jego braciom. Ani jeden, ani drugi nie potrafił ustrzec jabłek, a najmłodszy co noc zdobywa po jabłku. I bracia postanowili dociec, jak on to robi. W tym celu kazali jednej stare i doświadczonej czarownicy, ażeby go wysledziła.

Wieczorem stara ukryła się za jabłonią.

Okolo północy, gdy jabłka zaczęły dojrzewać, królewicz obudził się, jak zwykle. Znowu przyleciało dziewięć

pawic. Ośm usiadło na jabłoni, a dziewiąta sfrunęła do królewicza i zamieniła się w dziewczę cudnej urody. Jej wspaniałe włosy sięgały do ziemi. Jędza podkraǳła się i część ich odcięła.

Dziewczę zlekło się, przybrało znowu postać pawicy i uciekło z pozostałemi ośmioma.

— Co się stało? zawołał królewicz, a spostrzegłszy czarownicę, pochwycił ją i oddał sądowi, żeby ją ukarał.

Odtąd pawice już nie przylatywały. Królewicz rozteśnił się i postanowił pojechać w świat na poszukiwanie swojej pawicy-panny. Wziąwszy ze sobą tylko jednego sługę, puścił się w drogę.

Długo podróżował królewicz. Nakoniec przyjechał do jeziora, pośród którego, na wyspie stał wspaniały pałac. W tym pałacu mieszkała królowa z córką.

Królewicz zwrócił się do królowej z zapytaniem, czy nie wie czego o dziewięciu pawicach. Królowa odpowiedziała, że wie. Pawice te przylatywały codziennie kąpać się w jeziorze. I zaczęła namawiać królewicza, ażeby zaprzestał poszukiwania pawicy, lecz ażeby natychmiast ożenił się z jej córką.

— Moja córka jest także piękna, — mówiła, — a ja'm bogata. Cały mój olbrzymi majątek tobie się dostanie.

Ale królewicz ani chciał słuchać o córce królowej i kazał swemu pachołkowi przygotować sobie konia, skoro świt, dla udania się na jezioro.

Królowa podkupiła pachołka i dała mu miech służący do rozdmuchiwania ognia.

— Oto, — mówi — miech. Gdy przyjdzie czas przylotu pawic, dmuchnij królewiczowi leciutko w głowę, a zaśnie i nie zobaczy pawicy.

Niewierny sługa tak też i zrobił. Pawice przyleciały, a królewicz spał jak kamień. Ośm sfrunęło na jezioro, a dziewiąta — królewiczowi na siodło.

— Obudź się ptaszku mój, gołąbku, koteczku. Ale królewicz nic nie słyszał. Spał snem umarłego.

Gdy pawice się wykapały i odrfrnęły, królewicz się ocknął.

— I cóż, były? — zapytał pachółka.

— Były, miłościwy paniczu. Ośm sfrnęło na jezioro, a dziewiąta przysiadła się do panicza na siodło. Budziła, budziła, ale się nie dobudziła.

Usłyszawszy to, królewicz wpadł w rozpacz.

Nazajutrz, stało się to samo. Daremnie usiłując go obudzić, pawica zwróciła się do pachółka i rzekła:

— Powiedz swojemu panu, że jeśli i jutro spać będzie przy mnie, to mnie już nigdy nie zobaczy.

Gdy pawice odleciały, królewicz obudził się i zapytał pachółka, czy były. Sługa odparł, że były i dodał to, co mu powiedziała pawica. Królewicz wstrząsł się całym ciałem i spuścił głowę.

Trzeciego ranka, królewicz, podjechawszy do jeziora, ażeby się nie poddać drzemce, jął jeździć tam i zpowrotem. Ale sługa — zdrajca, upatrzawszy chwilę, dmuchnął nań i królewicz w tej samej chwili zasnął.

Przyleciało dziewięć pawic; ośm na jezioro, a dziewiąta na konia do królewicza. Nie dobudziwszy go się, zwróciła się do pachółka.

-- Gdy się twój pan obudzi, powiedz mu, że mu tak trudno będzie dostać się do mnie, jak robakowi do szczytu góry.

Gdy się królewicz obudził i usłyszał sprawozdanie sługi, tak się rozgniewał, że wyrwał szablę i odciął pachółkowi głowę. Potem pojechał gdzie go oczy poniosą. Jechał długo, przyjechał do ciemnego lasu i pod noc znalazł się przed chatą pustelnika.

— Staruszk, nie słyszałeś też o złotych pawicach?



— Masz szczęście, syneczku, żeś trafił na moją chatę, — odparł pustelnik. — Stąd do nich nie więcej jak pół dnia drogi.

I objaśnił szczegółowo królewiczowi, jak ma się dostać do miejsca, w którym znajduje się zamek pawic.

Gdy królewicz dojechał do zamku i wymienił portjerowi swoje imię, wybiegła na jego spotkanie pawicdziewczę i wzięwszy go za rękę, poprowadziła na górę. Toż była radość! Po upływie kilku dni wyprawiono sute wesele!

Pewnego razu królowna wyszła na przechadzkę, a królewicz pozostał w domu. Na odchodnym, królowna wręczyła mężowi klucze od dwunastu piwnic, ostrzegając go, że może zwiedzać wszystkie piwnice, z wyjątkiem dwunastej.

Gdy królowna wyszła, królewicz jął otwierać piwnice jedną po drugiej. Doszedł do dwunastej.

— Coby tam być mogło? — pomyślał, a nie mogąc przewyciężyć ciekawości, otworzył ją i wszedł do środka.

Pośrodku piwnicy stała wielka beczka, okuta żelaznemi obęczami.

— Bądź miłosierny, bracie mój, daj mi wody, umieram z pragnienia, — dało się słyszeć z beczki.

Królewicz zaczerpnął kubek wody i wlał go do beczki. W tej chwili jedna obęcz pękła.

— Błagam cię, daj mi jeszcze kubełek, konam z pragnienia.

Królewicz zaczerpnął jeszcze kubek i wlał go do beczki. Pękła druga obęcz.

— Jeszcze, — na litość! — dało się słyszeć z beczki.

Zaledwie jednak królewicz zdążył wlać trzeci kubek, gdy ostatnia obęcz pękła, beczka się rozpadła i wyskoczył z niej smok. Dogoniwszy królownę porwał ją i uciekł.

Przybiegli słudzy i donieśli królewiczowi o tem, co zaszło. W rozpacz, królewicz rzucił się na poszukiwanie.

W trakcie poszukiwań trafił na kałużę, pozostałą po wylewie rzeki. W kałuży szastała się rybka i nie mogła żadną miarą wydostać się do rzeki.

— Królewiczu, błagam cię, — mówiła rybka — zlituj się nade mną i wpuść mnie do rzeki, a ja ci się zato odwdzięczę. Weź ze mnie łuskę, a gdy czego będziesz potrzebował, potrzyj ją między palcami.

Królewicz wypuści rybkę do rzeki, a łuskę zawiązał w chustkę.

Później natknął się na lisa, który złapał się w sidła.

— Zmłuj się, królewiczu, — jął błagać lis, — zwolnij mnie z sideł, a ja ci się odwdzięczę. Wyrwij mi kilka włosów z grzbietu, a gdy ci się czego zażąda, potrzyj je między palcami.

Królewicz schował sierść lisią i poszedł dalej.

Szedł, szedł, aż przyszedł do lasu. Tu spostrzegą wronę, która także złapała się w sidła.

— Proszę cię, — zakrakęła wrona, — bądź mi bratem, przechodniu, uwolnij mnie z sideł, a ja ci się odwdzięczę. Wyrwij mi piórko ze skrzydła, a gdy ci się czego zażąda, trzymaj je pomiędzy palcami.

Królewicz schował skrzydełko i poszedł dalej.

Długo podróżował królewicz, w poszukiwaniu swojej królowny. Pewnego razu spotkał człowieka i pyta go :

— Nie wiesz czasami, mój bracie, gdzie mieszka król smoków ?

Człowiek wskazał mu drogę i powiedział mu, o której porze można króla smoków zastać w domu.

Królewicz poszedł wskazaną drogą, znalazł pałac smoczego króla, a w nim swoją najdroższą żoneczkę. Małżonkowie ucieszyli się sobą ogromnie i jeli obmyślać, w jaki sposób dałoby się uwolnić ją z niewoli.

Pogadali, potem usiedli na konia i uciekli.

Wrócił smok, a zobaczywszy, iż królowny niema, ozwał się do swego konia:

— Co począc, jeść, pić, czy gonić zbiegów?

— Jedz, pij i bądź spokojny, — odparł koń.

Najadłszy się smok wsiadł na konia i w moment dogonił zbiegów. Odebrawszy królownę, rzekł do królewicza:

— Idź z Bogiem! Uwalniam cię, boś mnie napoił, ale pamiętaj, żebyś mi się drugi raz nie naprzykrzał, jeżeli ci życie miłe.

Przejechał królewicz czas niejakiś, aż smutek go ogarnął. Zawrócił tedy znowu do pałacu smoka. Siedzi królowna przy oknie i płacze.

I znowu zaczęli się zastanawiać i radzić, jakby ją uwolnić ze smoczej niewoli.

— Postaraj się wymóc na nim, ażeby ci powiedział skąd dostał swego bystronogiego konia. Dostanę takiego samego i uciekniemy, — rzekł królewicz i śpiesznie ukrył się, ażeby go smok nie spostrzegł.

Gdy smok wrócił, królowna jęła mu dogadzać na wszelkie sposoby i wypytywać.

— Ale też masz konia! Gdzieżeś dostał takiego sokoła?

— Gdziem jego dostał, tam się drugiemu dostać go nie uda, — odparł smok. — Na wielkiej górze mieszka czarownica. Ma ona w stajni 12 rumaków, jeden lepszy od drugiego. A w kąciку stoi sobie trzynasty, chudy, zapuszczony. Ten to obrośnięty rumak zaćmi wszystkie inne: może skoczyć do samego nieba. Jest to brat mojego konia. Dla zdobycia tego konia, trzeba służyć jędzy przez trzy dni i trzy noce i pilnować jej koni. Kto je upilnuje, może sobie wybrać, którego zechce, a nie upilnuje to życie traci.

Nazajutrz, gdy smok odleciał, przyszedł królewicz i królowna opowiedziała mu, co usłyszała.

Nie tracąc czasu, królewicz poszedł szukać tej góry, na której żyła czarownica. Odnalazłszy dom jędzy, powitał ją w te słowa :

— Dzień dobry, babuniu.

— Dzień dobry, synku, a pociś przyszedł?

— Chciałbym ci posłużyć.

— Dobrze, synku. Mam niesforną kobyłę ze źrebakiem. Jeżeli ją przypilnujesz przez trzy dni i trzy noce, to weźmiesz sobie konia, jakiego zechcesz z dwunastu, jeżeli nie przypilnujesz to zetnę ci głowę.

Zaprowadziła go stara na dziedziniec, ogrodzony płotem z pali drewnianych. Na każdym palu sterczała głowa ludzka, na jednym tylko nic nie było. I pal ten jęczał nieustannie.

Daj mnie wiédźmo ludzką głowę.

— Widzisz, — mówiła stara, — wszyscy oni najmowali się tu do koni, a upilnować ich nie mogli.

Ale królewicz nie zląkł się. Wsiadł na kobyłę i pocwałował z góry na dół. Żreback cwałował obok. Trwało to do północy. Około północy znużył królewicza sen i zasnął. Ocknąwszy się zrana, spostrzegł, że siedzi na kłodzie z uzdeczką w ręku.

Przerażony, królewicz zerwał się i pobiegł szukać klaczy. Przybiegł do rzeki i wtedy dopiero przypomniał sobie o rybce. Wyjawszy z chustki łuskę, potarł ją między palcami. W tej samej chwili wypłynęła rybka na powierzchnię i pyta :

— Czego żądasz, pobratymie drogi?

— Uciekła mi klacz wiédźmy i nie wiem, gdzie jej szukać.

— Jest pomiędzy nami; zamieniła się w rybę, a źreback w rybkę. Uderz po wodzie uzdeczką i rzeknij: „Do mnie, do mnie, kobyło czarownicy!“



Królewicz tak zrobił. Uderzył uzdą po wodzie, a gdy powiedział: „Do mnie, do mnie, kobyło czarownicy!” wyskoczyły dwie rybki i zamieniły się w kobyłę ze żrebakiem. Królewicz założył uzdę kobyłę, wsiadł na nią i przyjechał do wiedzmy.

Stara dała mu jeść, a kobyłę postawiła w stajni i jeła jej uragać:

— Dlaczegoś się nie schowała pomiędzy rybami, niegodziwa!

— Schowałam się, ale mnie wydały. On ma tam przyjaciół, — odparła klacz.

— To ukryj się pomiędzy lisami.

Wieczorem królewicz wsiadł na kobyłę i pojechał na pastwisko, żrebak biegł z tyłu. Około północy królewicz usnął i obudził się na kłodzie z uzdą w ręku. Zrywa się, szuka kobyły, ale jak kamień w wodę!

Wtedy przypomniał sobie o sierści lisa i wydostawszy ją z chustki, potarł między palcami.

— Czego żądasz, pobratymie? — zapytał lis, stając przed nim.

— Uciekła mi kobyła wiedzmy.

— Jest między nami. Zamieniła się w lisa, a żrebak w liska. Uderz uzdą o ziemię i rzeknij: „Do mnie, do mnie, kobyło wiedzmy!”

Królewicz zrobił to wszystko i klacz stanęła przed nim.

Wróciwszy, dostał obiad, a kobyłę stara zaprowadziła do stajni, zlorzecząc po drodze.

— Mówiłam ci, nędznico, ażebyś się ukryła między lisami.

— Ukryłam się, ale mnie wydały; on i tam ma przyjaciół.

— Dziś ukryj się pomiędzy wronami.



Wieczorem królewicz znów pojechał na pastwisko, a gdy mu klacz zginęła, przypomniał sobie o skrzydełku wroniem, a gdy je potarł między palcami, zjawiła się wrona i kazała mu machnąć uzdeczką w powietrzu i klacz przywołać. Tak się też stało. Za powrotem do wiedźmy, krzyknął królewicz.

— Ej, stara, wiernie ci służył, dawaj to, coś obiecała.

— Com obiecała, to dam. Oto 12 koni. Wybieraj.

— Nie chcę cię krzywdzić. O daj mi tego, co stoi w kącie. Dla mnie i ten będzie dobry.

Wiedźma zaczęła się wymawiać. A na co ci, — mówi — taki łachman.

Bierz lepiej jednego z tych dwunastu pięknych i rośłych ogierów; ale królewicz uparł się i wiedźma musiała ustąpić.

— Bądź zdrowa, babuniu, — rzekł królewicz, — siadając na swego kosmatego człapaka.

— Bądź zdrow, synku.

Dojechawszy do lasu, królewicz jął swego konika rozczesywać i muskać. Koń stał się gładki i błyszczący, jak złoto. Gdy królewicz wsiadł nań, rumak wzbił się, jak sokół i w mig doniósł go do pałacu smoka. Królowna wyszła, usiadła przed królewiczem i pomknęli oboje.

Wraca smok i widzi, że królowna czmychnęła, pyta więc swego konia:

— Co począć, jeść, pić, czy gonić zbiegłych?

— Jedz, nie jedz, pij nie pij, goń nie goń, — wszystko jedno, już ich nie dogonisz, — odparł koń.

Smok nie posłuchał konia i pomknął za zbiegami. Królewicz i królowna, ujrawszy pogoń, zlekli się okropnie jeli błagać swego konia, ażeby biegł prędzej.

— Nie mamy się co śpieszyć, bądźcie spokojni, — odparł koń.

Smok był już tuż tuż przy zbiegach. Słysząc było tętent sępiego konia, a wkrótce i głos jego :

— Braciszku, przez litość, poczekaj. Sił mi braknie biec za tobą.

— Ale też głupiec z ciebie, że dźwigasz taką gadzinę na sobie, — odparł koń królewicza. — Fajtnij dobrze, zrzuc go ze siebie i popędzimy razem.

Koń sępi schylił łeb, wierzgnął zadniemi nogami, a smok — bęc na kamień i rozpadł się na setki kawałków. Na jego konia przesiadła się królowa i małżonkowie szczęśliwie dojechali do swego państwa i tam panowali pomyślnie aż do samej śmierci.

---



### 3. BAJKA CHORWACKA.

#### CUDOWNA KLÓDKA.

Przed laty żyła biedna wdowa z synem. Syn pracował na siebie i matkę; pasał krowę, chodził po drzewo, nosił je do miasta na sprzedaż i kupował chleba.

Pewnego razu zrobił klatkę, sprzedał ją w mieście i za te pieniądze kupił chleba. Wracając do domu, przechodził przez las i spotkał pasterzy. Pasterze truli nieszczęśliwego psa i chcieli go zabić.

— Nie zabijajcie go, — jął prosić syn wdowy pasterzy, — a jeżeli nieszczęśliwe zwierzę dokuczyło wam w czemkolwiek, to mnie go oddajcie.

— A co nam dasz za to? Daj chleba!

Syn oddał chleb, a z psem poszedł do domu.

— Przyniosłeś chleba? — pyta matka.

— Chleba nie przyniosłem, ale za chleb wymieniłem psa.

— Oj synku, synku. Czemuż go będziesz karmił; toć my sami ledwo żyjemy.

— To nic, mateczko. Narobię klatek, sprzedam i kupię chleba.

Syn narobił klatek, sprzedał je i z chlebem powracał do domu. Szedł przez las; widzi — pasterze chcą zabić kota.

— Dajcie mu spokój, — rzecze, — dokuczył wam, to mnie go oddajcie.

— A co nam dasz za to? Dawaj chleb.

Syn oddał chleb i wziął kota. W domu pyta go matka :

— Przyniosłeś chleba, synku?

— Nie matuchno! Wymieniłem chleb na kota.

— Oj synku! Sami jeść nie mamy czego, a tu kot przybył!

— To nic, matuchno, może się i kot na co przyda.

Poszedł syn do lasu, narobił klatek, sprzedał je i wracając z chlebem przez ten sam las, widzi, że pasterze pochwycili małą żmiję i chcą ją zabić. Żal mu się żmii zrobiło i za chleb ją wymienił. Po drodze do domu, żmijka rzekła doń:

— Karm mnie, dopóki nie wyrosnę, a potem odnieś mnie do domu.

— Znowu coś przyniosłeś zamiast chleba, — rzecze wdowa, na widok syna.

— I ta żmijka przyda się nam na coś, — odparł syn.

Znów poszedł do lasu, narobił klatek, sprzedał i przyniósł chleba tyle, że najadł się i sam i matka i pies i kot i żmijka. Tak było i dalej; syn wdowy żywił całą rodzinę.

Żmijka wyrosła na dużą żmiję. Wdowi syn wziął ją i odniósł do domu.

— Słuchaj, — rzecze mu żmija: — moja matka dziękować ci będzie, dawać srebro i złoto, ale ty nic nie bierz, tylko proś o kłódkę, która wisi przy bramie. Jest to cudowna kłódka. Co ci się tylko zażąda, zastukaj w kłódkę, a wnet wystąpi dwunastu młodzieńców i dostarczą ci wszystkiego, czego zechcesz.

Gdy syn wdowy przyniósł żmiję do domu, rodzice jej zaczęli go pytać, coby żądał za swą przysługę. Syn wdowy odpowiedział, jak był nauczony.

— Dajcie mi kłódkę od bramy; nic więcej nie chcę.

— Ach, kochany chłopcze, — odpowiedzieli: — na co ci ta kłódka? Weź lepiej pieniądze. Damy ci tyle, ile tylko udźwigniesz.

— Nie chcę waszych pieniędzy. Chcę kłódkę i nic więcej, — odparł syn wdowy.

Widząc, że nie ma z nim rady, rodzice żmii dali mu kłódkę.

Syn wdowy odszedł a w pewnem oddaleniu zastukał w kłódkę. Natychmiast wyszło z niej dwunastu młodzieńców i zapytało: — czego żadasz, panie?

— W jednej chwili zanieście mnie do domu.

I znalazł się w domu. Matka bardzo ucieszyła się jego powrotem.

— Dzięki Bogu, syneczku, żeś przyszedł; lękałam się już o ciebie, a i głód trochę mi dokuczył.

— To nic, mateczko. Już teraz nie będziemy cierpieć głodu; będziemy żyli szczęśliwi.

I wyjawszy z kieszeni kłódkę, zastukał w nią pocichu. Wystąpiło dwunastu młodzieńców.

— Czego żadasz, panie?

— Postarajcie-no się o jedzenie dla mnie, dla matki, dla psa i dla kota.

I po chwili wszystko się zjawilo. Stara nie mogła się nacieszyć.

Minęło sporo czasu; syn wdowy pomyślał o żeniacze i mówi do matki:

— Idź, matuchno, do króla i wyswataj mnie z jego córką.

Matka klasnęła w ręce.

— Czy ty przy zdrowych zmysłach?

— Idź, idź, matko i rób to, co mówię.

Stara zastanowiła się, ale ponieważ syn upierał się przy swoim, poszła swatać go z królewną.

— Dobrze, odparł król: — jeżeli twój syn zrobi to, co mu rozkażę, to oddam mu córkę. Oto te góry, co podpierają niebo, niech mi do rana rozwieje po wietrze. I żeby na tem miejscu, tak daleko, jak okiem sięgnąć, było pole,

na polu ma rosnać pszenica, a jeżeli z tej pszenicy będę jadł jutro bułkę, to — córka jego. Jeżeli zaś nie spełni mego rozkazu, to każę mu ściąć głowę.

Starą splakana wraca do domu.

— Oj synku, synku, — zawodzi: — złeś sobie począł. — I opowiedziała mu o rozkazie królewskim.

— Nie bój się, matko. Wszystko będzie zrobione i królewna zostanie moją żoną.

— Ach, syneczku, czyliż to mczna wykonać?

— Śpij sobie spokojnie, a jutro zrana zobaczysz, czy będzie czy nie będzie zrobione.

Po wieczery, gdy matka udała się na spoczynek, syn zastukał w kłódkę i wywołał dwunastu młodzieńców.

— Czego żadasz, panie?

— Te oto góry zrównajcie z ziemią i żeby na tem miejscu było pole, na tem polu pszenica, a z tej pszenicy bułka.

Nazajutrz zrana zjawiła się u króla staruszka z bułką.

— Dzieńdobry, miłościwy królu. Przynoszę, ci to, czegoś żądał.

— Widzę, widzę. A teraz powiedz mu, ażeby cały las, który stąd widać, był oczyszczony do jutra, a na jego miejscu ma rosnać wino, a wina tego mam się jutro napić cały puhar. Jeżeli tak będzie, to oddam mu córkę, jeśli zaś nie — to zetnę mu głowę.

Stara powróciła do domu i ze łzami opowiedziała to synowi; ale on się tylko roześmiał.

— Nie martw się, mateczko, idź spać; a jutro zobaczysz, czy się to stanie czy nie.

Po wieczery i udaniu się matki na spoczynek, syn zastukał w swą cudowną kłódkę. Wystąpiło dwunastu młodzieńców i zapytali, czego żąda.

— Trzeba, ażeby do jutra tam, gdzie jest las rosło wino i żebym miał tego wina pełen puhar u siebie.



Tak się też i stało. Gdy król wstał, stara oczekiwała już nań z winem.

— Bardzo pięknie. Powiedz-że twemu synowi, że jeżeli będzie miał tyle bydła, co ja i takie same miasto jak moje, to oddam mu córkę, a jeśli nie, to zetnę mu głowę.

Gdy matka opowiedziała synowi, czego król odeń żąda, syn, niedługo myśląc, stuknął w kłódkę i wywołał dwunastu młodzieńców.

— Czego żądasz, panie?

— Macie mi do jutra zbudować miasto tak piękne, jakiego król nie widział jeszcze od urodzenia. Bydła i wszelakiego dobytku ma być w niem więcej, niż u króla. Dookoła mego pałacu założcie ogród z rozmaitemi drzewami i niech najrzadsze ptaki w nim śpiewają. Moje miasto połączcie arkadami z miastem królewskim.

Wszystko się tak stało. Nazajutrz zrana obudził się w pałacu własnym, kazał zaprząć sześć koni do wspañej karocy i pojechał do zamku królewskiego, ażeby wziąć sobie narzeczoną i odwieźć ją do ślubu. Król wyda ucztę na świat cały. Trzy lata trwała uczta i przychodził każdy, kto chciał; pił, jadł i używał wszelakich uciech.

Pod koniec trzeciego roku skarb królewski już się wyczerpywał. Wtedy syn wdowy rzekł:

— Teraz przez trzy lata ja przyjmuję gości.

I znów rozpoczęły się uczty. Pomiedzy gośćmi znajdował się król morski, który bardzo upodobał sobie królowną, żonę syna wdowy. Dziwnem mu się wydało, że w tem mieście nie gotują, nie pieką, a strawa wyrasta jakoś sama przez się. Jął śledzić król morski i pewnego razu podpatrzył, jak syn wdowy wywoływał z kłódki swoich młodzieńców. Wobec tego, użył podstępu i wykrał kłódkę.

— Czego żądasz, panie? — zapytali młodzieńcy, gdy ich przywołał stuknięciem w kłódkę.

— Całe miasto wraz z królowną przenieście mi na morze czarne.

Tak się też i stało.

Gdy syn wdowy i jego goście obudzili się, spostrzegli, że leżą w gęstych krzakach.

Zrozumiawszy, co się stało, syn wdowy udał się do króla i poprosił go o przytułek dla matki, dopóki nie odzyska swej cudownej kłódki i żony.

Zgoda. Poszedł i wziął ze sobą psa i kota. Przyszedł nad czarne morze i widzi, zdala, na wyspie, stoi jego miasto.

— Lube zwierzątka moje, — ozwał się do psa i kota. Widzicie, oto tam nasze miasto. Jakby to się tam dostać? Usiadł na brzegu i ze znużenia zasnął. A kot z psem jeli się naradzać.

— Trzeba mu dopomóc, — rzekł pies: — ty nie umiesz pływać, a ja umiem. Siadaj mi na grzbiecie.

Dotarli w ten sposób do murów miejskich.

— Ty nie umiesz się wdrapywać, a ja umiem, — rzekł kot: — trzymaj-że się mnie.

Wdrapali się na mur, zeskoczyli i kot udał się do pałacu, a pies czekał.

Dobiegłszy do pałacu, kot zakradł się do pokoju samego króla i miauknął: „miau, miau!”

Król myślał, że to jego własny kot i wpuścił nieproszonego gościa. Kot obwąchał wszystkie kąty, znalazł kłódkę i wziąwszy ją w zęby, dalejże do drzwi: „miau!”

Kamerdynier króla drzwi otworzył i kot znikł.

— Masz kłódkę? — pyta pies.

— Mam. Idźmy prędzej.

Tą samą drogą przebyli mur miejski i jeli płynąć morzem.

— Daj mi kłódkę, — rzekł pies.

— Nie dam.

Zaczęli się bić, kłódka wypadła i pochwyciła ją ryba. Rybę zaś kot pochwycił.

— Oddaj kłódkę, bo cię zagryzę!

Ryba oddała kłódkę i kot z psem, pogodziwszy się, wyszli na brzeg. Syn wdowy obudził się i rzekł z westchnieniem:

— Jak ja się tam dostanę!

— Panie nasz, przynieśliśmy ci kłódkę, — oświadczyły zwierzęta.

— Zuchy! — I wzięwszy kłódkę, syn wdowy zastukał w nią. Wyskoczyło dwunastu młodzieńców.

— Czego żądasz, panie nasz?

— To miasto ze wszystkim, co posiada, postawić na dawnem miejscu.

Tak się i stało. Syn wdowy poszedł do swego miasta i spotkał się tam ze swoją żoną. Uściskali się serdecznie i zaczęli żyć i kosztować uciech wszelakich.



## 4. BAJKI CZESKIE.

### DROGA DO SZCZĘŚCIA.

Jerzyk leżał na miedzy, z ręką pod głową i patrzył w niebo. Wieczór był cudny. Po lazurowym niebie płynęły obłoki, lekkie, jak para; ich brzegi od strony słońca miały odcień złoty. Było cicho, chłodno, na miedzy świerkały świerszcze i czuć było mocny zapach trawy wiosennej.

Nieopodal Jerzyka pałała się krowa, a dzwonek przywiązany do jej szyi, pobrzękiwał co chwila.

Jerzyk miał oczy niebieskie, jak niebo, a twarz jak jabłko, rumianą.

Leżąc twarzą do góry, widział niebios sklepienie, wsparte o brzeg ziemi i serce aż rozpływało mu się z rozkoszy. Chciał iść daleko, daleko, szukać szczęścia.

Tam za polem, była niska izdebka, gdzie mieszkali jego rodzice i młodsza siostra; a obok sąsiadka z synem Wacławem, jego przyjacielem. Co rano wychodził Jerzyk na robotę i pracował gorliwie, a o zmroku wyprowadzał pstrokata na trawę i wtedy Bóg wie jakie myśli przychodziły mu do głowy; istny robak mózg mu toczył.

Nic go nie cieszyło, nie rozweselało w rodzinie. Roił sobie, że gdyby mu się dostała w udziale choć odrobina szczęścia, to nie potrzebowałby w pocie czoła na swój chleb zarabiać. I przy myśli o szczęściu wyobrażnia malowała mu obrazy najrozkoszniejsze.

Leżał sobie tak na ziemi, marząc i rojąc sny na jawie, gdy nagle stanęła przed nim zgarbiona staruszka, której nigdy przedtem nie widział, chociaż znał każdego czło-



wieka w okolicy tak, jak każdy znał Jerzyka. Skąd się wzięła ta staruszka? Pewno zdaleka. Jak się tu dowlekła? Taka maleńka, chudziutka, że zda się, można ją było złożyć we dwoje i zawiązać w węzelek.

Jerzyk podniósł się i zapytał staruszkę, dokąd idzie i czego jej potrzeba.

— Nigdzie nie idę i nic mi nie trzeba; ale ty tobys poszedł z ochotą, — odparła stara, sepleniąc.

Jerzyk spojrzał na nią zdziwiony. Skąd ona mogła wiedzieć, że poszedłby z ochotą. Ale jeszcze się więcej zdziwił, gdy staruszka opowiedziała mu, co do słowa wszystkie jego najskrytsze myśli i rojenia.

— To wy mnie znacie, babciu? — zapytał Jerzyk.

— Jakże nie mam cię znać, głuptasku, kiedyś stała u twojej kołyski. Wszak jestem przeznaczaniem twojem.

— No to czego chcesz ode mnie, babciu? Wiesz przecie, że ja marzę o szczęściu, któregoś mi nie przeznaczyła.

— Przeznaczyła czy nie przeznaczyła, a przychodzę po to, ażeby ci wskazać do niego drogę.

Jerzyk zerwał się na równe nogi i zdało mu się, że wszystko kręci się mu wkoło. Zapomniawszy o pstrokatej, poszedł za staruszką wzdłuż miedzy do lasu, dziwiąc się, jak lekko szła przodem, jak gdyby płynęła, nie dotykając nogami ziemi.

Pasterz spotkał Jerzyka ze staruszką i opowiedział o tem we wsi. Na miedzy znaleziono pstrokatą, a Jerzyka wołali, nawoływali, hukali, krzyczeli i nie dowołali się do późnej nocy. Cała wieś się rozbiegła po lesie, ale o Jerzyku ani dudu, ani słychu.

Kmiotkowie pojąć nie mogli, co się stało z Jerzykiem. Wszak się nie zawałił w ziemię i wszak jakaś tam szczuplutka starowinka nie mogła zdusić takiego silnego chłopca.

Dnie schodziły jeden po drugim, a Jerzyk nie wracał. Ojciec chodził posepniejszy od nocy, siostra Andzia co wie-

czór chodziła na miedzę, dokąd Jerzyk wyprowadzał pstrokatą i czekała na brata. Stary żebrak powiedział jej, że ze zniknięciem Jerzyka łączą się czary i wierzyła mu.

Upatrzywszy chwilę, gdy nikt jej nie widział, Andzia rozmawiała z pstrokatą, jak z rozumnem stworzeniem, zapytując ją o brata; wpatrywała się w pełnię księżyca, w nadziei, że na niej odnajdzie rozwiązanie zagadki, zapytywała gwiazd, ale nic jej nie mogło wyjaśnić ciężkiej tajemnicy. Jerzyk w istocie zapadł się, jak w ziemię.

A tymczasem z Jerzykiem oto, co się stało. Szedł za swoją losówką przez las do granitowej skały, na której szczycie rosła stuletnia sosna, a u stóp, w cieniu, posepna paproć, gdzie bije źródło, czyste jak kryształ. Tam stanęli.

— Ze źródła tego bierze początek rzeczka, przepływająca przez waszą wioskę, — rzekła stara. — Weź z niego kamyczek i schowaj go. Jeżeli zatęsknisz za domem i biedą swoją, rzuć kamyczek za siebie i wspomnij o mnie; a teraz idź.

Ścisnęło się serce Jerzykowi. Spojrzał na staruszkę, w oczach jej błyszczała dobroć; spojrział na las, las był pełen czarów wieczornych.

— Cóż, iść czy zostać? — myślał Jerzyk, — miał-żebym wypuścić szczęście, gdy samo pcha mi się w ręce?

Podziękował starej i na jej znak rozsunęła się skała. Jerzyk wszedł i skała zamknęła się za nim. Obejrzawszy się dokoła, spostrzegł, że jest w dziwnie pięknej, ale w całkiem nieznaney sobie miejscowości.

Jak cudowny jest świat Boży, myślał Jerzyk, zasłaniając oczy od słońca. Dzień był jasny; ani jedna chmurka nie pstrzyła lazuru niebios. Jerzyk szedł ścieżką w lesie, potem wyszedł na polanę i zobaczył zamek jak śnieg biały.

Udał się tam Jerzyk. Przed bramą stało czterech ludzi. Ujrzawszy Jerzyka, zbliżyli się doń i powitali go radośnie.

— Wielkie szczęście cię spotyka, — rzekli doń: — nasz pan umarł bezpotomnie, a ostatnią jego wolą było, ażeby pierwszy podróżny, idący z lasu od północy stał się jego dziedzicem. Tobie sędzono być tym szczęśliwcem. Witamy cię dawno upragniony i oczekiwany.

Wstąpiwszy do zamku, Jerzyk zadziwił się jego wspaniałością. Białe marmur, obicia złotem tkane, miękkie dywany, wspaniałe meble — wszystko to oślepiało i uderzało młodzieńca. Z ogrodu, przez otwarte okna, wlewała się cudowna woń.

Nowemu panu pokazano wszystkie kosztowności zamku: srebro, złoto, błyszczące kamienie. Cały szereg służby starał mu się dogodzić na wyścigi. Podawano potrawy i napoje, o jakich Jerzykowi nawet nie roiło się we śnie. Wogóle, wszystko, co go otaczało, podobne było do snu, lubo Jerzyk czuł, że to nie sen przecie! Czuł także, że posiada dosyć rozsądku do odgrywania z godnością roli pana i nie poznawał sam siebie. Znużony wrażeniami dnia, położył się na miękkiej pościeli, ogrodzonej kosztowną zasłoną i zamknął oczy do spoczynku.

Zrana oczekiwało nań wielu proszących. Wysłuchiwanie ich wydało się Jerzykowi nudnem i męczącym. Był to pierwszy mrok na jego horyzoncie.

Wieczorem wyszedł do sadu, ażeby odetchnąć wonnem powietrzem. Tu poczuł, że serce mu się jakby ścisnęło, ale przezwyciężył szybko to uczucie. Dziwnym byłby smutek przy posiadaniu wszystkiego, czego tylko pragnął.

Dzień schodził za dniem. Jerzyk zapoznawał się z ludźmi i codziennie spostrzegał coś niemiłego: oszustwo, pochlebstwo, wykręt. Wszystko to psuło mu dobry humor.

Nierzadko wspominał o rodzicach i miłej, kochanej Andzi.

Teraz nie mógł, jak bywało, na miedzy leżeć sobie na plecach, z ręką pod głową i spoglądać w niebo. Ciągłe otaczali go ludzie, którzy mu byli całkiem obcy.

— Czem jest w rzeczywistości szczęście? — rozmyślał. — Nie w bogactwie i nie w rozkoszach szczęście. Czegoż mi brakowało we wsi rodzinnej? Nie miałem nic, a miałem wszystko. Obok mnie byli drodzy mi ludzie, była praca. A teraz mam wszystko i nie mam nic. Nikt mnie nie lubi, lecz tylko schlebiają mi. Nic nie robię, piję i jem gotowe; rzetelnie swego, zarobionego, nie mam nic.

W domu robiłem, a wieczorem odpoczywałem na miedzy, na miękkiej trawce. A gdy wróciłem, jak smaczna była polewka i chleb razowy z masłem! Czy to nie było szczęście?

Wiele dałby za to, ażeby choć na chwilkę znaleźć się w domu i zobaczyć, co się tam dzieje. Ale dom był daleko; on sam wyszedł zeń w pogoni za szczęściem, gdy szczęście było tak blisko, tuż przy nim, w domu.

Niejeden raz chciał już rzucić poza siebie kamyczek, ale się wstrzymywał. Dobrze by było, gdyby mógł złoto zabrać ze sobą. Ale staruszka mu powiedziała, że musi wrócić takim samym biedakiem, jakim wyszedł. Jerzyk chudł i mizerniał; apetyt stracił zupełnie. Konie, powozy, służba — nic go nie cieszyło. Tęsknił za domem i daremnie walczył ze sobą.

Nareszcie zabrakło mu sił do walki. Minął rok od czasu, gdy się osiedlił w zamku, przypomniawszy sobie losówkę i rzucił kamyk poza siebie.

W tej chwili Jerzyk stracił przytomność; a gdy się ocknął, ujrzał się obok staruszki pod skałą granitową, na szczycie której rosła sosna, a na dole paproć.

— Teraz wiadomo ci, czem jest szczęście, — rzekła staruszka, uśmiechając się łagodnie.



— Poznałem je, — odparł młodzieniec, — miałem je, a nie znałem.

Staruszka znikła, a Jerzyk pobiegł do domu. Rychło rozniosła się wieść o jego powrocie.

Rodzice o mało nie poumierali z radości; Andzia aż pokraśniała ze szczęścia.

Przyjaciel Jerzyka, Wacław i cała wieś słuchali z otwartymi ustami opowiadania o jego przygodach i nie mogli wyjść z podziwu, że postanowił wyrzec się bogactwa i wrócić do ubóstwa.

Ale Jerzyk, przekonawszy się z doświadczenia, że nie masz większego szczęścia, nad miłość rodziny i większej rozkoszy, niż praca, która krzepi i dodaje otuchy człowiekowi, słuchał wykrzykników swoich towarzyszy całkiem spokojnie i ani na chwilę nie pożałował tego, co utracił.

Niekiedy chadzał z siostrą do zaczarowanej skały, która rozstąpiła się przed nim po to, ażeby poznać szczęście i w cieniu sosny stuletniej zbierał piękne paprocie na bukiety dla Andzi.

## ZŁOTE ŹRÓDŁO.

Tak to już bywa u niektórych ludzi na świecie. Im więcej mają, tem więcej chcą posiadać. Takim nieszczęśliwym człowiekiem był, dawno już temu, pewien stary rycerz z Nachodu. W całych Czechach nie było bogatszego odeń rycerza. Niepodobna było zliczyć wszystkich jego skarbów. W jednej piwnicy leżało u niego srebro, w drugiej złoto, w trzeciej różne kosztowności. Uzbrojone straże pilnowały tych bogactw. A ile miał ziemi i lasów! We wszystkie strony dookoła Nachodu widać było tylko jego ziemie.

Ale dla chciwego rycerza wszystkiego było za mało. Chciał mieć jeszcze więcej; więcej nawet, niż sam woje-

woda ziemi czeskiej. Dzień i noc myślał o tem, ale nic nie wymyślił.

Pewnego razu, latem, pod wieczór, wyszedł ze swego zamku. Było to w wigilię świętego Jana. Szedł zamyślony, naprzód doliną, potem wkroczył do gęstego ciemnego lasu i znalazł się przed starą izdebką, której przedtem nikt nie widział i nikt nie słyszał o jej istnieniu.

— Co to za izdebka i kto w niej mieszka? — zadziwił się rycerz.

Otworzył drzwi i wszedł. Chuda, garbata staruszka stała przed kominem i mieszała coś w kotle. Przy niej stał kij i siedział ogromny kot czarny, któremu ślepie błyszcząły w ciemności, jak dwa rozżarzone węgle.

— Coś ty za jedna? Pocoś tu przysła i co robisz w moim lesie i bez mojej wiedzy? — z gniewem zawołał rycerz.

— Witaj mi, witaj, pożądany gościu, — odparła stara: — co sprowadza jasnego pana w moje ubogie progi?

— Wpierw odpowiadaj, a potem pytaj; a czy ja ci odpowiem, to moja wola!

— Twoja wola, twoja, przemożny panie. Wiem ja i bez tego, żeś bogaty i potężny, znam też twoje skryte myśli i mogę ci dopomóc, jeżeli to posłuży do twojego szczęścia, — odparła staruszka, opierając się na kiju i patrząc na rycerza przenikliwym wzrokiem.

— Znasz mnie? A cóż ty za jedna?

— Jam wiedna-wszechwiedna, co zna terażniejszość i przyszłość, która pomaga, radzi i leczy. Zna mnie cała okolica. W tym oto kotle źródło mojej mądrości. Tu warzą się różne trawy i korzenie: czworolistek, złotokwiat i inne, zmieszane z majowym sokiem młodej brzozy i buku...

— Jeżeli istotnie jesteś wszechwiedna, to może znajdziesz środek dla pomożenia mi w tem, o czem myślę ciągle.

— Pomogę, jeżeli twoja chęć nie zwali biedy na ciebie. Bo wszak, wielmożny panie, nie dla każdego człowieka bywa z korzyścią, ażeby się miały spełnić jego życzenia.

— Mówiłaś przecie, że mnie znasz i wiesz, jakie mam myśli.

— Prawda, ale u mnie taki porządek, że każdy musi sam mówić, czego mu trzeba. Siądź sobie pan, o tam i powiedz mi, co ci ciąży na duszy.

I staruszka wskazała mu kamień.

— Słuchaj, wszechwiedna wiedźmo, — rzekł rycerz, siadając na kamieniu, — mam takie życzenie: posiadam dużo mienia i pól i lasów, piwnice moje pełne są bogactw. Ale wszystkiego tego mi za mało. Chcę być najbogatszym człowiekiem w całym królestwie; bogatszym od samego księcia.

— I w tem mogę ci dopomóc, panie rycerzu, — rzekła czarownica, siadając naprzeciw niego na drugim kamieniu. — Słuchaj z uwagą: na wschód od twojego zamku, na górze, jest skała. To skała dobroszowska. W niej w noc świętojańską bije złote źródło; w skale też i ginie. Pilnują go gnomy, duchy gór. Nikogo nie chcą doń dopuścić; ale ty, z moją pomocą, możesz wziąć z niego tyle złota, ile zapragniesz, byleś, wielmożny panie, pamiętał o moim nakazie. Dam ja ci trzy złote kwiatki paproci, która zakwitnie tej nocy. Z temi kwiatami udasz się dziś jeszcze do skały dobroszowskiej i obejdiesz ją trzy razy. Po trzecim obchodzie, stań na stronie północnej, przyłóż lewe ucho do skały i słuchaj. Jeżeli usłyszysz stuk, hałas, turkot, łomotanie, to znaczy, że mali kowale, gnomy, rozpoczęli swoją robotę. Wtedy nie trać czasu. Trzema kwiatami paproci uderz trzykroć o skałę i wymów trzy razy:

„Twarda skało, otwórz wrota,  
A żeś można, daj mi złota“.





Naucz się tych wyrazów i nie pomyśl się, bo cię bieda nie minie. Jeżeli zaś wszystko spełnisz, skała się rozstąpi i zobaczysz złote źródło. Z tego źródła popłynie złoty strumień, ale też schowa się w skale. Pod złote źródło podstaw dzban, a gdy złoto napłynie, idź pod światło księżyca i wylewaj złoto na to miejsce, na które księżyc świeci. Złoto będzie zastygać i pod światłem księżyca za nieni się w złotą szałbkę. Zostaw ją, niech sobie leży, a sam biegnij co żywo znowu napełniać dzban i tak aż do świtu. Pamiętaj tylko: pilnuj kwiatów paproci, jak oka w głowie. Jeżeli uronisz jeden bodaj — zginiesz najniezawodniej. W tej samej chwili skała zamknie się za tobą i gnomy zamordują cię.

Chciwy rycerz zadrżał z niecierpliwości.

— Dzięki ci, mądra staruszek. Bądź pewna, że ściśle wykonam wszystkie twoje zlecenia i że niczego nie zapomnę. A jeżeli spełni się wszystko, jak mówisz, to cię hojnie wynagrodzę. Dawaj-że te kwiaty paproci, pobiegnę, polecę!

Nie mam ich tutaj, wielmożny panie. Wszak kwitną tylko w noc świętojańską. Racz pójść ze mną do ponurego wąwozu, nad potok, tam je dostaniesz.

— Oto są kwiaty, rzeczce wiedźma, gdy przyszedł na oznaczone miejsce. W nich twoje szczęście, a może i nieszczęście, zależy to od tego, jak się sprawisz.

Schwyciwszy kwiaty, rycerz puścił się co siły do swego zamku, wziął dzban i niespostrzeżony przez nikogo, pośpieszył do skały dobroszowskiej. Księżyc świecił, jak oko rybnie i oświecał drogę, po której rycerz wdrapywał się na skałę. Było cicho jak w kościele, a ciszę uroczystą zakłócał tylko szmer potoku górskiego. Niekiedy zbudzona sowa trzepotała skrzydłami, jakby gniewając się na śmiałego przechodnia, który się poważył ze snu ją zbudzić.

Było około jedenastej, gdy znużony rycerz dowlóknął się nareszcie do skały dobroszowskiej. Był u celu swoich pożądań. Serce młotem waliło mu w piersi. Pełen niecierpliwości, nie odpoczął nawet, jak się należy i ją obchodzić skałę. Obszedłszy ją trzy razy, stanął na stronie północnej i przyłożył ucho do strumienia. Długo słuchał, wszystko było cicho, jak w grobie.

Około północy dał się słyszeć szum oddalony.

— Aha, zaczyna się, kowale idą do roboty, — pomyślał rycerz.

Zaczął się stuk, hałas, łomot, coraz większy, coraz głośniejszy.

Rycerz uderzył trzykroć w skałę i wymówił słowa, których go nauczyla wiedźma:

„Twarda skało, otwórz wrotą,

A żeś można, daj mi złota!“

Zaledwie skończył... O dziw nad dziwy! Skała się rozsunęła, a w jej głębi błysnęło złote źródło, z tego źródła wypływał złoty strumień, który, nie dochodząc do ziemi, chował się w skałę. Obok źródła i strumienia małych kowali było tak wiele, jak maku w polu. Wzrostem nie dosięgali trzyletniego dziecka, z brodą po kolana, w czarnych krótkich spodenkach, czerwonej kurtce i takiejsze czapce. Przy pasie mieli lampkę, jak górnicy. W rękach trzymali młoty, ale spostrzegłszy rycerza, odłożyli je. Trzeba było widzieć oczy tych malców. Polyskiwały gniewem i nienawiścią. Gnomy wiedzieli, po co rycerz przybył, ale nie mogli mu przeszkodzić.

Rycerz, nie tracąc czasu, podbiegł do potoku, nabrał pełny dzban plynącego złota i pobiegł na miejsce, oświetlone księżycem. Tu wylał złoto. Dziw dziwów! W miarę wylewania, złoto zastygało i zamieniło się wkrótce w piękną sztabę.

Rycerz zaryczał z radości. Już wyobrażał sobie, że będzie bogatszy nie tylko od księcia czeskiego, ale i od najbogatszego z bogaczy świata.

Trzeba było śpieszyć się znowu z napełnianiem dzbanu. Rycerz pobiegł do źródła. Ale ze wzruszenia drżały mu ręce i... wypuścił złoty kwiatek. Nagle, dał się słyszeć śmiech djabełski i ktoś zawołał z góry :

„Głupcze! Złotaś szukał skrycie!

Przez tę chciwość tracisz życie!”

Nastąpił straszny hałas, gwałt, rwetes, śmiech i okrzyki radości. Zanim chciwiec zdołał się opamiętać, skała się zamknęła i ukryła go na wieki.

Nazajutrz zrana, ludzie z Dobroszowa, przechodząc tą drogą, znaleźli sztabkę złota. Nikt nie wiedział czyje to złoto i skąd się tam wzięło. Wkrótce dała się słyszeć po całej okolicy wieść, że rycerz z Nachodu przepadł bez śladu.

Czarownica, dowiedziawszy się o tem, pokręciła siwą głową.

— Wszak ostrzegałam go, — mówiła : — to chciwość zaprzepaściła rycerza.

### WODNIK POD SKAŁĄ WYSZEHRADZKĄ.

O tem, że pod ponurą skałą wyszehradzką jest ukryty skarb Libuszy i o tem, że w nurtach Wełtawy mieści się kołyska jej syna, słyszeliście niezawodnie ; ale o wodniku, który mieszka w Wełtawie pod Wyszehradem, bodaj czy wam wiadomo.

Zdarza się, że wodnik ten wyłazi niekiedy z wody i siedzi na brzegu, lub w trzcinie. Czapkę zesunie na tył głowy i gwizdże lub trąbi. Przypływają rybki i słuchają. Dookoła niego przewalają się porosty wodne, istne wstęgi z zielonego aksamitu.

Pewnego razu mały chłopczyk, brodząc w płytkiej wodzie, pociągnął za jedną roślinę. Wodnik cap i porwał go ze sobą pod wodę.

Biada tym, którzy idą się kąpać przed szóstą zrana lub w samó południe; wodnik czyha.

W nocie letnie, wodnik dobiera się i do skały wyszehradzkiej, a siedząc tam, zrywa najładniejsze kwiaty. Jam go tam nie widział, ale dobrzy ludzie mi opowiadali.

Więc i ja powtórzę, com słyszał od dobrych ludzi.

### **JAK WODNIK CHODZI PO SPRAWUNKI.**

Co rano wodnik chodzi po sprawunki. Ma on złą żonę, ogromną zieloną ropuchę i musi pomagać jej w gospodarstwie.

Przedewszystkiem idzie do piekarni po bułki. Ma na głowie czapkę niebieską, a na ciele zieloną kamizelkę i szafirowe spodnie. Twarz ma szeroką, pomarszczoną, włosy zielonkawe; wygląda, jak ubogi staruszek.

Kupiwszy bułek, idzie do rzeźnika. Na mięso jest bardzo wybredny.

— Od krzyża, kumciu, od krzyża, — mówi płaczliwie, a gdy rzeźnik rozbiera mięso, on coraz to palce podsuwa.

Był u rzeźnika zły pomocnik. Grymasy wodnika wprowadzały go z cierpliwości.

— Nie podsuwaj palców, bo odskoczą!

Wodnik spojrzał na złego pomocnika i zachichotał.

Wtedy to odskoczył mu mały palec.

Miał też za swoje pomocnik rzeźnika! Gdy nazajutrz poszedł się kąpać, wodnik pociągnął go na dno.

### **WODNIK I FURMAN.**

Furman pewien jechał kiedyś z ciężko wyładowanym wozem po błotnistym brzegu Węławy. Ugrzązł w błocie i konie ani rusz z miejsca.



Nagle, ni stąd ni zowąd zjawia się mały staruszek; pociąga furmana za polę i rzecze:

— Przyjacielu, podwieź mnie.

— Jakże cię mogę podwieźć. Czy nie widzisz, jaki mam ciężar; męka dla koni i tyle.

Drobny starowinka zaśmiał się.

— Mnie możesz jednak zabrać, jestem leciutki jak piórko.

Co mówiąc, wskoczył na wóz.

I cóż się dzieje? Oto konie pobiegły tak szybko, jakby ciężaru wcale nie było.

Gdy zaś wodnik zlaźł i chlup! — skoczył do wody, koniom zaciężyło znowu.

Inny furman także jechał po brzegu Węławy. Znowu zjawia się staruszek.

— Podwieź mnie, przyjacielu!

Ale furman odburknął i chlasnął go batem.

I temu się dostało za śmiałość. Wieczorem pławił konia. Wodnik chciał go ściągnąć, ale nie dał rady. Furman siedział na koniu, a konia wodnik przemóc nie był w stanie. Ale przywołał sobie do pomocy wodnika z Dunaju i obaj przemogli konia i zatopili furmana.

## WODNIK I RYBAK.

Pewien stary rybak łapał ryby pod Wyszehradem. Siedział do nocy, ale nic mu się nie trafiło. Zniecierpliwiony; zebrał sieć i chciał iść do domu.

Nagle stanął przed nim karzeł o zielonych oczach.

— Poczekaj, bracie, zarzuć no raz jeszcze.

— I poco będę zarzucał, skoro się nic nie łapie, — mruknął rybak: — lepiej pójdę się wyspać.

— Spróbuj, a zobaczysz, — upierał się karzeł.

Rybak usłuchał i zarzucił sieć. Nabrało się tyle ryb, iż rybak ledwie mógł sieć wydobyć. W tej chwili północ wybiła. Chlup! Karzeł dał nurka w wodę. Rybak przeżegnał się, cisnął ryby i drapnął, ani się obejrzawszy nawet.

## WODNIK I PRZEWOŹNICY.

Niemало ucierpieli od wodnika przewoźnicy. Wyprawa on z nimi rozmaite figle.

Pewien przewoźnik opowiadał, że około dziesiątej w nocy ktoś go zawołał. Wychodzi z izby i widzi — troje czarnych ludzi stoi na brzegu; z lewego trzewika woda im ścieka. Zażądali promu; zaledwie jednak dopłynęli do środka Weltawy — chlup! wszyscy trzej znikli pod wodą.

Przewoźnik przestraszył się i powrócił; a poza nim dał się słyszeć chichot.

Nazajutrz zrana przewoźnik znalazł na promie dukata. Domyślając się, skąd się wziął pieniądz, przewoźnik cisnął go w rzekę.

U jednego przewoźnika wodnik żył w domu i nie było sposobu się go pozbyć. Pewnego razu wepchnął go w worek, mocno zawiązał i przymocowawszy kamień, zatopił w rzece. Wraca do domu, a wodnik siedzi sobie na piecu i grzeje się. Tak żył u przewoźnika do samej jego śmierci.



## 5. BAJKI KASZUBSKIE.

### Ó TRZECH BRACIACH: DWÓCH MĄDRYCH I JEDNYM GŁUPIM.

Pewien król miał jedną jedyną córkę. Kazał on rozgłosić po całym swoim państwie, że jeżeli się znajdzie człowiek, co obmyśli łódkę, któraby chodziła i po morzu i po lądzie, to odda mu swoją jedynaczkę.

W jednej wsi mieszkał kmiotek; miał dwóch synów mądrych, a trzeciego głupiego. Mądrzy nieustannie wyśmiewali się z głupiego i nigdzie nie chcieli go brać ze sobą.

Dowiedziawszy się o rozkazie królewskim, dwaj bracia nie powiedzieli nic trzeciemu i poszli do lasu pracować.

Zbliżył się do nich staruszek i rzecze:

— Panie Boże dopomóż, syneczku. Dajcie mi ognia, niech sobie fajeczkę zapalę.

— Nie mamy czasu, --- odparli bracia i robili dalej, odwróciwszy się od staruszka.

— Z pracy waszej wyjdzie wspaniałe koryto dla świń, a królewny nawet nie zobaczycie — rzekł staruszek odchodząc.

Tak się też i stało. Dowiedział się głupek o rozkazie królewskim i postanowił spróbować szczęścia. Gdy robił w lesie łódkę, zbliża się doń ten sam staruszek i rzecze:

— Panie Boże dopomóż, syneczku.

— Panie Boże zapłać, dziaduniu. Możebyś mi poradził jak zrobić taką łódkę, coby chodziła i po morzu i po lądzie.

— Rób, rób, mój synku. Bóg ci dopomóż! — odparł staruszek.

I rzeczywiście, Bóg natchnął głuptaska do wykonania takiej łódki, że chodziła i po morzu i po lądzie. Gdy łódka była gotowa, przyszedł ten sam staruszek i rzecze:

— Gdy pojedziesz do króla, bierz ze sobą każdego, kogo tylko spotkasz.

Przed dołem z wodą głuptas spotkał ubogiego, który pił, pił i nie mógł się napić. Zabrał go ze sobą. Potem, wjechawszy na górę, spotkał biednego staruszka w podartej odzieży. Pomimo, że słońce paliło żarem, starzec drżał i skarżył się: „zimno mi, zimno!“ — I jego głuptas wziął ze sobą. Jeszcze dalej trafił mu się żebrak, który kość obgryzał i wołał: „Jeść, chce mi się jeść!“ Wziął i tego ze sobą.

Przyjechali do króla. Król obejrzał łódkę i zobaczył, że jest wykonana bardzo dowcipnie. Miała oś i koła, co jej nie przeszkadzało iść i po wodzie. Spozregł król i to także, że artystą, który wykonał łódkę, jest chłop zwyczajny i przytem biedny. Nie chciało się królowi oddawać swej córki za takiego zucha i dał mu zadanie: znaleźć takiego człowieka, coby w jedną noc zjadł dwanaście bochenków chleba i takiego, coby w jedną noc zjadł dwunastu byków i wypił dwanaście beczek piwa i jeszcze takiego, coby całą noc przesiedział na rozpalonym piecu.

Zafrasował się pan młody i poszedł na radę do starców, którzy siedzieli w jego łódce.

Jeden rzekł, że się żadną miarą nie może napić, drugi, że się nie może najeść, trzeci — że się nie może ogrzać.

Gdy nazajutrz król przyszedł zobaczyć, czy zadanie jego zostało wykonane, troje żebraków ujrawszy go, zawołało:

— Jeść! pić! zimno!



Ale król był uparty i za nic nie chciał dać swej córki chłopu. Poszedł on na wojnę z królem sąsiednim i ogłosił, że odda córkę temu, kto się okaże najzręczniejszym rycerzem.

Dwóch mądrych braci pojechało na wojnę na dobrych koniach, a głupi — na kusej kobyle. Gdy ledwie-ledwie włożył się po drodze, spotyka tego samego staruszka.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — wita go głuptas.

— Na wieki wieków, Amen!

Jechali dalej razem, gawędząc po przyjacielsku i jak zwykle, starszy uczył młodszego.

— Gdy pojedziesz przez wielki las, to z prawej strony zobaczysz rozłożystą lipę. Podjedź do niej i powiedz:

— Lipo, lipo, otwórz się. — Lipa się otworzy i wyjdzie z niej osiodłany koń. Na siodle leżeć będzie nowa odzież, a na szyi konia będzie wisiła torba.

Gdy włożysz odzież, wsiądziesz na konia i spotkasz wojsko nieprzyjacielskie, powiedz tylko:

— Wychodźcie, żołnierze z torby! — I wyjdzie wojska kilka tysięcy, a z nimi zwyciężysz wroga. A teraz z Bogiem!

Wszystko stało się tak, jak powiedział staruszek.

Głuptas pokonał wojsko nieprzyjacielskie, ale jeden z żołnierzy drasnął go w nogę. Król to spostrzegł i rozdarłszy własną chustkę na połowę, jedną połowę przewiązał rannemu nogę, a drugą połowę schował.

Po skończonej wojnie, nasz rycerz pojechał do lipy, zwrócił jej wszystko i poszedł do domu.

Król rozpytywał dokoła, jak się nazywa rycerz, co pokonał wroga, ale nikt nie umiał mu dać odpowiedzi.

Wtedy rozesłał gońców, ażeby odnaleźli człowieka ze zranioną nogą, przewiazaną chustką królewską.

Długo wysłańcy królewscy nie mogli znaleźć, kogo im było trzeba, gdyż szukali pośród ludzi bogatych. Wtedy król rozkazał obejrzyć nogi wszystkim poddanym, bez różnicy stanu.

Przeszukawszy w ten sposób, gońcy doszli do izdebki, gdzie dwaj bracia mądrzy siedzieli za stołem, a głuptas piekł na węglach placuszki. Jedną nogę miał przewiazaną chustką króla.

Gońcy zrozumieli, że stoi przed nimi ten, którego szukali, ale najstarszy z nich nie mógł się pogodzić z myślą, że córka królewska dostanie się idjocie. On by i sam się z nią ożenił.

Wziąwszy ze sobą głupiego, gońcy pojechali zpowrotem. Gdy przybyli do lasu, goniec, który chciał być się ożenić z córką króla, zabił towarzysza i głuptasa, zaciął się w nogę i przewiązał ją sobie chustką królewską.

Król i jego córka byli bardzo zadowoleni z owego narzeczonego. Był to człowiek zdolny i zręczny.

Tymczasem potężny staruszek niewidzialnie był obecny przy zabójstwie. Zbliżył się do zabitych i wziąwszy ich za ręce, postawił na nogi.

— Idźcie na dwór królewski. Jutro wesele córki króla.

Poszli i powiedzieli królowi całą prawdę.

Król przywołał oszusta i zapytał go, co należy zrobić z człowiekiem, który postąpił sobie tak a tak.

Nie podejrzewając niczego, oszust odpowiedział:

— Przywiązać go do dwóch koni, niech go rozerwą na dwoje.

— Jaką śmierć sameś sobie naznaczył, taką i umrzesz,

— rzekł król.

Niegodziwca przywiązano do dwóch koni, które rozerwały go na dwoje, a głuptas ożenił się z córką królewską.

I była uczta na świat cały, ja na niej byłem, jadłem piłem — i biwakowałem; a jak mnie uczęstowano: dano mi szklanne buty, papierowy kaftan i maślany kołpak. Gdym się roztańcował, masło się stopiło, papier pękł, a szkło się potłukło.

Wzięli mnie grzesznika, wsadzili w armatę i wystrzelili. I oto znalazłem się aż tu, przy tym oto stole.

A młodzi małżonkowie żyją dotąd zdrowo, o ile wczoraj nie pomarli.

## ROZMOWA ZWIERZĄT.

Starzy ludzie mówią, że w wigilję Bożego Narodzenia zwierzęta rozmawiają ze sobą o tem, co się z niemi stanie w tym roku.

Pewien gospodarz, który posiadał dar rozumienia języka zwierząt, włożył w wigilję do obory i zaczął podsluchiwać.

Mówi jeden wół do drugiego:

— Za tydzień odwieziemy naszego gospodarza na cmentarz.

Przestraszony gospodarz zszedł ze strychu, poszedł do żony i opowiedział, co słyszał.

Żona zaczęła się zeń wyśmiewać:

— Co za głupstwo! Gdy nadejdzie czas na ciebie, to nie woły lecz konie odwiozą cię na cmentarz. A gdyby i koni nie było, to każdy sąsiad chętnie zrobi ci ostatnią przysługę i da swoich koni.

Na trzeci dzień gospodarz zachorował i umarł.

Tej samej nocy koniokradcy uprowadzili mu konie ze stajni.

A sąsiedzi?

U jednych konie zachorowały, drudzy nie chcieli dać koni dla nieboszczyka.

I oto woły zawiozły go na cmentarz.

---

## 6. BAJKI ŁUŻYCKIE.

### POMYŚLNY DZIONEK.

Pewnego pięknego poranku wilk obudził się w swojej norze. Obudził się i wyciągnął. W tej chwili spojrzało nań złote słońko.

Obok wilka przebiegł lis.

— Będiesz miał dzisiaj pomyślny dzionek, — rzekł doń.

— Dlaczego? — zapytał wilk.

— Dlatego, że złote słońko spojrzało na ciebie w chwili, gdyś się obudził.

— Kiedy tak, to trzeba wybrać się na łowy; a zamierzalem przeleżeć dzień cały.

Pobiegł wilk lasem i spotkał dwóch złodziei, którzy nieśli po kawałku ukradzionego mięsa. Spostrzegłszy wilka, złodzieje porzucili mięso i uciekli.

— „Lis miał słuszość, — pomyślał wilk, wachając mięso; — mam dzionek pomyślny! Ale najeść się naczczo, to się będzie chciało pić przez dzień cały. Zobaczę, czy się coś lepszego nie trafi.“

I wilk pobiegł dalej. Przybiegł na łąkę, widzi — kłacz się pasie ze źrebkiem. „O, to będzie lepsze!“ — pomyślał wilk i mówi do kłaczy:

— Przechacna kobytko, dziś mi się w niczem nie powodzi to też chciałbym zjeść twoje źrebje.

— Szanowny wilku, — odpowie kobyła. — Bardzom szczęśliwa i poczytuję sobie za wielki zaszczyt, że taka poważna osoba zapragnęła kosztować mojego źrebca



Proszę cię tylko, pomóż mi naprzód. W tylnej nodze mam bolesną ranę, a słyszałam, że jesteś znakomitym lekarzem. Ty jeden możesz mnie z tego wyleczyć.

— Znakomity lekarz! — pomyślał wilk z zadowoleniem: — pierwszy raz o tem słyszę, ale skoro ona tak mówi, to musi być prawda.

— Pokaż no mi nogę, — rzekł do kobyły.

Przybrawszy poważną minę, podszedł bliżej, ażeby dobrze obejrzeć nogę. W tej chwili klacz uderzyła go w łeb kopytem tak mocno, że stracił przytomność, a klacz ze źrebkiem uciekła.

Po odzyskaniu zmysłów, wilk okropnie się rozgniewał na kobyłę za jej podstęp. Ale pomyślawszy chwilę, jął złorzeczyć sam sobie. „Dobrze mi tak! Nie powinienem był udawać lekarza, kiedy nim nie jestem. Dzięki Bogu i za to, że choć głowa cała.“

Uczuwszy głód, przypomniał sobie, że lis rokował mu dzień pomyślny i pobiegł dalej.

Pobiegł do młyna. Widzi, pasie się świnia z prosiętami. Zapłonęły ślepie wilkowi.

— Miła świnko! Nie powodzi mi się dziś we wszystkim muszę więc zjeść najpiękniejsze z twoich prosiątek.

— Jakżem szczęśliwa, jakżem rada, panie wilku, że taka zacna osoba pragnie skosztować mojego prosięcia. Ale racz pan spojrzeć, jakie to zamurusane. W takim stanie nie może być odpowiedniem dla zacnej osoby. Pozwól-że mi pan je obmyć i czyściutkie wręczyć waszmości.

— Waszmości! — pomyślał: — jestem zacną osobą! Pi! A ja nie wiedziałem o tem. Ale świnia nie nazywałaby mnie w ten sposób, gdyby tak nie było.

— Dobrze, umyj go, — zgodził się wilk i usiadł na brzegu.

Świnia z prosiętami, nie tracąc czasu, weszła w wodę, a wilk nie zdążył się zorientować, gdy już przepłynęła rzekę i ukryła się pod młynem.

Spostrzegłszy, że zdobycz mu się wyśliznęła, wilk zaczął złorzeczyć świni a potem samemu sobie.

— Dobrze mi tak! — szepnął: pocom chciał być wielką osobą, kiedym nią nigdy nie był. I oto takie głupie zwierzę jak świnia, zdołało mnie podejść. No, ale nie ma co tracić nadziei; lis wróżył mi powodzenie. Poczekajmy chwilę, chociaż jeść mi się chce okrutnie.

Pobiegł dalej i przybiegł na pole, gdzie biło się dwóch kozłów, waląc się okrutnie łbami.

— Mięso kozie niebardzo smaczne! — skrzywił się wilk, — ale głód nie pyta. Kto nie jadł od rana, ten musi się zadowolić i kozliną.

— Miłe koziołki! — zwrócił się wilk do kozłów. — Mam dziś dobry humor i jeden z was musi mi się dostać na ząb.

— Bardzo to nam pochlebia, panie wilku, że taka wybitna osoba, jak pan, pragnie jednego z nas spożyć, — odparli kozły, ale wpierw musimy rozstrzygnąć spór, do kogo z nas ma należeć pole. Nawet sędzia nie umiał nas pogodzić; pan, jako biegły prawnik, uczynisz to najlepiej. Posiedź-że pan wśród pola i pomyśl, a my odejdziemy na okrainy i puścimy się stamtąd pędem do pana. Kto pierwszy nadbiegnie, ten stanie się władcą pola.

— Biegły prawnik! pierwszy raz słyszę. Ale kozły by tak nie gadały, gdyby tak nie było, — pomyślał wilk i rzekł do kozłów:

— No, dobrze; dalej!

Kozły rozleciały się, zbiegłszy się znowu, dziobnęły wilka z taką siłą, że o mało dusza mu na wierzch nie wyszła. Wilk stracił przytomność, a kozły uciekły.

Odzyskawszy zmysły, wilk zaczął złorzeczyć kozłom za podstęp nie oszczędził też i siebie.

— Dobrze mi tak! Nie powinienem był udawać wielkiego prawnika, skoro nim nie jestem.

Głód mu wielce doskwierał, postanowił tedy iść dalej w nadziei, że trafi na coś dobrego; wszak lis wróżył mu dobry dzionek.

Wkrótce przyszedł na łąkę, gdzie pasło się duże stado owiec.

„O, to pięknie!“ — pomyślał i zwrócił się do owiec z takimi słowami:

— Miłe owieczki, źle powodzi mi się dzisiaj, to też muszę jedną z was spożyć.

— Najszanowniejszy panie wilku, — odpowiedziały owce. Bardzo nam pochlebia, że taki poważny jegomość chce jedną z nas skosztować. Ale wpierw pozwól pan, że załatwimy nasze interesy. Nie mamy pierwszego głosu. Nasz piękny, wielki baran, który miał u nas zawsze głos pierwszy, zdechł właśnie; szukaliśmy zastępcy, aleśmy nie znalazły. Sam los zlitował się nad nami, zsyłając nam pana. Wiemy, że z pana słynny śpiewak. Zarządź więc pan nami, jak się należy; a potem wybierz sobie pierwszą lepszą na zakąskę.

-- Patrzcie państwo, to ze mnie słynny śpiewak anim tego przypuszczał! Ha cóż, trzeba je pocieszyć. — Hola, słuchajcie! — zawołał do owiec i wlaższy na dach szałas, pod którym stały owce, usiadł i zawył, wymachując łapą, jak kapelmistrz pałeczką.

Owce beczały co sił, wilk wyl. Na ten piekielny koncert zbiegła się cała wieś. Za ludźmi przyleciały psy. Wilk tak się zapalił, że nic nie widział. Nagle, ktoś z całej siły uderzył go w łeb i biedaczysko stoczył się z dachu.

Na to psy jęły go szarpać, ludzie bić i kłuć tykami, widłami, wszystkim, co było pod ręką. Zbity, poraniony, wilk ledwie z życiem uszedł. Wpadłszy w krzaki, leżał i jęczał, przeklinając owce, które go tak zwiodły.

— Dobrze mi tak, ośle! Czemużem uwierzył, że jestem słynnym śpiewakiem! — urągał sobie wilk. — Przez tę głupią zrozumiłość, nawet tak marne zwierzęta, jak owce, potrafiły zadrwić sobie ze mnie. Ha, cóż zrobić; trzeba o głodzie wracać do domu. A zresztą, wszak na drodze zostało mięso. W braku laku, dobry i opłatek.

Z trudem powlókł się wilk do domu, nieustannie zatrzymując się dla odpoczynku. Przyszedłszy do miejsca, na którym zostawił mięso, już go nie znalazł. Lis je już dawno zjadł.

I tak próżne wilczysko poszło spać o głodzie.

## DJABEL I ŻEBRAK.

Pod lasem u stóp góry, stała chateczka, w której nikt nie chciał mieszkać, gdyż każdemu, kto się w niej osiedlił, umierały dzieci. To też stała pustkami.

Pewnego razu obok chatki przechodził żebrak, zatrzymał się i rzekł:

— Niech Bóg pomoże gospodarzowi.

— Czego chcesz? — zapytał go djabeł.

— Jestem biedny i nie mam gdzie głowy przytulić.

— Możesz tu zostać; tylko powiedz żonie, ażeby co sobotę myła podłogę w izbie i pilnowała dzieci, ażeby nie łaziły na piec; tam ja mieszkam.

Został biedak i zaczął prowadzić żywot spokojny i wygodny. Żona co sobotę myła podłogę, a szczególnie dawała baczenie, ażeby dzieci nie włożyły na piec. I tak



wszystko szło im dobrze. Nastąpiła zima. Lichą miewał robotę ojciec rodziny, a teraz i tej mu zabrakło. Nędza stuknęła do drzwi. Pewnego wieczora zebrana rodzina siedziała przy stole, dojadając ostatniego ziemniaka z solą. Ojciec głośno użalał się na swoją dolę. Usłyszał to djabeł, zlął z pieca i niewidziany przez nikogo, zbliżył się do biedaka i rzecze:

— Z niedzieli na poniedziałek idź o północy na smoczą górę, zetnij stary dąb i kop pod nim. Skończy się twoja nędza. Ale szaj, nikomu ani słówka o tem!

Przyszła niedziela. Nie mówiąc nic nikomu, biedak, z nastaniem nocy, wziął topór i łopatę i poszedł po głębokim śniegu na smoczą górę. Zegar wiejski wybił godzinę dwunastą. Biedak wziął się do rąbania dębu, zwałił go i jął kopać ziemię. Pracował tak, że pot ciurkiem lał się z niego. Nagle łopata brzękła. Pokazał się kociołek pełen złota. Biedak zabrał go i poszedł do domu. Przed świtem był już na miejscu; garnek schował za chatą w szczelinie skały. Skończyła się nędza. Ile wziął pieniędzy z garnka, nie ubywało ich wcale: kociołek zawsze był pełny.

Żona biedaka stała się żoną bogacza; rozleniła się, zaprzestała pracy i nie pilnowała dzieci. Dzieci laziły na piec, dokazywały i tak się djabłu dały we znaki, że, niewidziany przez nikogo, wyskoczył i szepnął ojcu:

— Mówiłem ci, iż masz dzieci doglądać. Sameś sobie winien. Jutro wszystkie twoje dzieci powymierają.

I troje dzieci umarło.

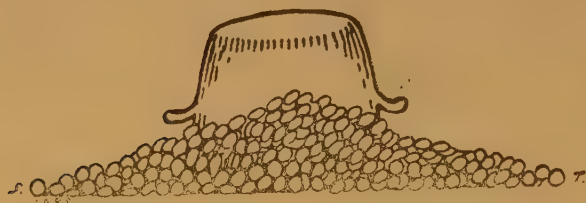
Na tem się bieda jeszcze nie skończyła. Ludzie dowiedzieli się pomału, że biedak się wzbogacił i jęli się dopytywać, skąd ma pieniądze. Żona zaczęła się stroić. Sąsiadki zazdrościły jej w duszy, a schlebiali w oczy i tak zżęcznie zabrały się do niej, że wypaplała wszystko.

Pewnego razu, gdy zbogacony biedak siedział przy wieczerzy, przystąpił doń djabeł i rzekł:

— Wynoś się stąd, jeżeli ci życie miłe.

Przerażeni, mąż i żona wybiegli z chaty, a w tej samej chwili znikła i chata i garnek z pieniędzmi.

Biedak po dawnemu zaczął chodzić i żebrać.



## 7. BAJKI MORAWSKIE.

### DLACZEGO PSY Z KOTAMI, A KOTY Z MYSZAMI PROWADZĄ CIĄGLĄ WALKĘ?

Od człowieka, którego Stwórca uczynił królem wszystkich zwierząt, psom nadane zostało zaszczytne prawo piinowania jego własnej osoby, strzeżenia jego stada i wartowania przy jego majątku. Prawo to zostało spisane w oddzielnej ustawie i wręczone psom. Psy wbiły się w wielką pychę, a koty jęły im zazdrościć. Na walnej naradzie, koty uchwaliły — wykraść ustawę psom. Wykradły i schowały do spichrza pod składem różnych rupieci. Jedna myszka zwąchawszy coś do jedzenia, wcisnęła się pod skład rupieci, znalazła drogocenny dokument i uradowana powiedziała o tem koleżankom. Zebrały się myszy i jęły radzić, co im uczynić wypada ze znalezionym skarbem. Długo nie mogły zgodzić się na jedno, a nakoniec mysz najstarsza rzekła:

— Siostry, zdaje mi się, że najlepiej będzie zjeść ten dokument. Wtedy nie będziemy się bały, że go nam odbiorą.

Rada spodobała się wszystkim myszom. Bez straty czasu, rozerwały ustawę na kawałki i schrupały ją bez śladu.

Po upływie pewnego czasu u psów był zjazd. Niektóre psy, z młodych, zapragnęły spojrzeć na dokument, potwierdzający prawa, nadane im przez człowieka. Zwróciły się do psa, któremu dokument był powierzony, ten zaś, rad nie rad, musiał się przyznać, że koty go wykradły. Psy do kotów, żądając, bądź co bądź, zwrotu dokumentu. Koty z początku zapierały się, ale widząc, że nic nie pomaga, prze-

straszyły się i dalejże szukać go w rupieciach. Ale w rupieciach dokumentu nie było. Któż mógł się tam dostać? Tylko myszy. To też koty rzuciły się na myszy. Ale myszy nie mogły oddać dokumentu, bo go zjadły. Odtąd zaczęły się ciągle nieporozumienia pomiędzy psami i kotami z jednej, a pomiędzy kotami i myszami z drugiej strony. Przechodząc z pokolenia na pokolenie, walki te nie ustały do dnia dzisiejszego.

### DOBRY HUMOR TO SKARB NIEOCENIONY.

Pewien król miał trzy córki. Myśląc o śmierci, zapragnął jedną z córek uczynić swoją spadkobierczynią, ale nie wiedział którą. Woła tedy córki i rzecze:

— Która z was najbardziej mnie kocha, ta będzie dziedziczyć po mnie. Wybierze sama sobie męża i będzie rządzić. Powiedz że mi najstarsza córko, dumna i wyniosła duszo, jak ty mnie kochasz?

— Kocham cię, jak własny honor i dobre imię, — odparła najstarsza córka: — cześć i dobre imię są mi droższe niż życie i ty, ojcie, droższy mi jesteś nad życie.

Król zamyślił się, ale nic nie odpowiedział i zapytał drugą córkę:

— A ty, córko moja, mądra i uczona, jak ty mnie kochasz?

— Nie zgadzam się z siostrą, — odpowiedziała średnia córka. — Myślę, że bez honoru i dobrego imienia przeżyć można, o ile się ma spokojne sumienie i o ile się jest zdrowym i bogatym. Dla mnie najwyżej stoi rozum i kocham cię tak, jak swój rozum. Gdybym była pozbawioną rozumu, to niechbym raczej nie żyła na świecie. Życie bez rozumu to śmierć ducha i ciała. To też i ja cię kocham nad życie.

Król się namyślił, ale nic nie rzekł, i zapytał najmłodszą córkę.

— No, a ty, dobra i wesoła dziecino moja, otucho i pociecho mojej starości, jak ty mnie kochasz? Ach, drogi ojczulku, — odpowiedziała najmłodsza, — jesteś dla mnie droższy od pieśni, od śmiechu i od wszelkiej uciechy, a wiesz, że ja to wszystko bardzo lubię.

Król zmartwił się. Odpowiedź najmłodszej i najukochańszej córki wcale mu się nie spodobała. Kazał ją odwieźć do lasu, umieścić w odosobnionym domku i trzymać o chlebie i wodzie, dopóki się nie opamięta.

Już chciał podzielić królestwo na dwie części i oddać je starszym córkom, ale najbliższy przyjaciel króla, szanowny starzec, poradził mu, ażeby się wstrzymał jeszcze jeden rok i potem dopiero orzekł coś stanowczego.

Król zgodził się, ale niemało się przez ten rok nacierpiał. Dawniej, pośród trosk i kłopotów o dobro podwładnych, czas leciał mu jak na skrzydłach. Dziś, dzień i noc ciągnęły się bez końca, kłopoty o podwładnych ciążyły mu, zabawy przestały mieć urok, spokój ducha go opuścił. Zawołał obie córki i prosi, ażeby rozerwały mu smutki i przywróciły spokój jego duszy. Starsza córka radziła wszystko traktować spokojnie i obojętnie i pocieszać się tem, że się ocaliło honor i dobre imię. Druga namawiała do cierpliwości, twierdząc, że dopóki człowiek posiada rozum i mądrość, dopóty wszystko zniesie. Mowy nie pocieszały króla, lecz go drażniły tak, że odpędził córki. Coraz częściej i częściej wychodził z zamku w towarzystwie swego przyjaciela, szanownego starca i coraz to ciągnęło go coś w tę stronę, gdzie za ogrodem widać było las ciemny, w którym znajdował się domek jego córki najmłodszej. Pewnego razu król doszedł aż do brzegu lasu, ale zawrócił. Innym razem wszedł już w głąb lasu, ale także zawrócił. Nie pił, nie jadł prawie, zestarzał się i schudł. Nikogo nie chciał



widzieć, oprócz starego przyjaciela. Szanowny starzec, widząc że jeżeli to potrwa dalej, to król umrze, kazał zaprząć do wygodnego powozu i zawiózł króla w tę stronę, gdzie się znajdował domek wypędzonej córki. Nie dojeżdżając do domku, już usłyszeli śpiewy i rażący śmiech, który dźwięczał w uszach króla, jak najcudniejsza melodia. Serce silnie mu bić zaczęło.

— Kto to śpiewa, jak tysiące słowików! — zapytał król.

— To twoja córka najmłodsza, — odparł starzec, — śpiewa, śmieje się i wraca cię do życia.

Król kazał przywołać córkę najmłodszą i serdecznie ją uściskał. Przekonał się, że dobry humor, to najcenniejszy z darów Bożych. Oddał też królestwo swojej córce najmłodszej. Ona wybrała sobie za męża ubogiego rycerza, była zawsze wesółą i wszyscy jej podwładni byli również weseli.

Król przeżył jeszcze długo i umarł z uśmiechem na ustach.

## GLUPI JASIEK.

Jasiek był jedynym synem zamożnego gospodarza, który niczego nie szczędził, byleby wykierować go na cztowieka ale na próżno. Wszak rozumu nie sprzedają w aptecce, a komu Pan Bóg odebrał zmysły, temu ich nie wkleisz! Próbował ojciec posyłać Jaśka do szkoły, ale nie nauczył się nawet abecadła; odpowiadał tak od rzeczy, że wszyscy uczniowie śmiali się, a nauczyciel musiał odesłać go zpowrotem, do ojca.

Jasiek był okrutnie szczęśliwy, że się pozbył szkoły. Przyszedł do domu, siadł na ławce, założył nogę za nogę i zabrał się do żucia chleba. Dowiedziawszy się, co zaszło,

ojciec rozgniewał się, ale, rad nie rad, musiał syna zostawić w domu. Jął go przyuczać do roboty. Jasiek był posłuszny, robił wszystko, co mu kazano, ale gdzie wypadło rządzić się własnym rozumem, tam na nic się nie zdał.

Czas mijał. Ojciec się postarzał i jął myśleć, jakby to ożenic syna, w nadziei, że żona nim będzie kierowała. Ale nie tak to było łatwo. Okoliczne dziewczęta znały Jasia, i nie chciały iść za niego. Nareszcie wyszukał ojciec biedną sierotę, dla której przytułek i zapewniony kęs chleba, wydały się wielkiem szczęściem, tak, że zgodziła się zostać żoną Jaśka.

Umarł ojciec i Jasiek zaczął gospodarować. Tożto była gospodarka! Gdyby nie Jaškowa, wszystkoby zmarniało!

Pewnego roku wypadł nieurodzaj. Nie było ani zboża, ani siana, ani słomy. Żona mówi do Jaśka:

— Idź, sprzedaj nasze woły; na wiosnę, możemy je sobie znowu kupić. Pamiętaj tylko, nie bierz mniej dwustu i nie dawaj na kredyt.

Jasiek poszedł. Idzie sobie lasem i gapi się w obie strony. Gdyby trafił na złodzieja, to z łatwością oderżnąłby mu woły i zabrał jak swoje. Przychodzi Jasiek do wielkiego dębu i przyszło mu na myśl, czy ten dąb nie kupi wołów od niego.

— Hej! nie kupiłbyś wołów ode mnie? — zapytał Jasiek

Był wiatr silny i wierzchołek dębu ruszał się. Jaškowi się wydało, że dąb kiwa głową na znak, że się zgadza.

Dasz dwieście?

Wierzchołek poruszył się znowu.

— No to dawaj pieniądze, a może nie masz?

Wierzchołek ruszał się ciągle.

— No, dobrze, poczekam ale nie dłużej nad dwa tygodnie. Oddasz za dwa tygodnie?

Dąb poruszył się, jak gdyby mówił: „tak!”

— Pamiętaj że. Jeżeli nie dotrzymasz słowa, to cię zarąbię jak psa!

Wraca Jaś do domu. — Sprzedałeś? — zapytuje żona.

— Sprzedałem! — odpowiada Jasiek, jak gdyby nigdy nic.

— A gdzież pieniądze?

— Dostanę za dwa tygodnie.

— Komużeś sprzedał bez pieniędzy? — Spytała żona, zaniepokojona nie na żarty.

— Staremu dębowi w lesie — odparł Jasiek, a spostrzegłszy że żona płacze, zaczął ją pocieszać.

— No czego, głupia, płaczesz. Ja mu pogroziłem, że go zarąbię, jeżeli mi nie zapłaci.

Żonie smutno się zrobiło, że ma takiego idjotę za męża i nie rozmawiała z nim przez całe dwa tygodnie.

Sprzyskrzyło się to Jaśkowi; wziął topór i poszedł do dębu. Przychodzi i widzi, że po jego wołach zostały tylko rogi.

— No, stary, dawaj no pieniądze za woły.

Ale dąb nie ruszał się, bo wiatru nie było.

— Czy nie słyszysz? — I Jasiek powtórzył żądanie.

Dąb ani drgnął.

— Takiś ty kupiec! Woły zjadłeś, a pieniądze oddać nie chcesz! Wszak ci mówiłem, że jeżeli nie dotrzymasz słowa, to cię zarąbię jak psa. Masz że, kiedyś taki: bęc! bęc! bęc!

Ale zaledwie Jasiek uderzył kilkakrotnie po dębie, gdy wypadła zeń kobiałka z pieniędzmi.

— Aha! Musiałeś oddać!

Jasiek porwał kobiałkę i pobiegł do domu.

— Zono, żoneczko! — zawołał: — nie chciał szelma oddać, ale siłą wzięłem. Spójrz!



\* Żona oczom własnym wierzyć nie chciała. Ale zobaczywszy tyle pieniędzy, pogodziła się z Jaśkiem, a on przechwalał się wszędzie, opowiadając, jak wymógł na dębie pieniądze.

Ale już drugi raz nie dano mu wołów na sprzedaż; żona nie dowierzała mu.

Zajęła się wszystkim sama, ale z Jaśkiem żyła w zgodzie, bo chociaż był głupi, ale dobry człowiek.

---



## 8. BAJKI POLSKIE.

### WILK I CZŁOWIEK.

Lis opowiadał wilkowi o potędze człowieka, której żadne zwierzę oprzeć się nie zdoła. Tylko chytrą można się utrzymać.

— O, gdybym ja spotkał człowieka, dałbym mu prawdziwą nauczkę!

— Pomogę ci, — mówi lis, — przyjdź do mnie jutro wczesnym rankiem, to ci pokażę człowieka.

Wilk stawiał się o porze oznaczonej. Lis wyprowadził go na drogę, którą codzień strzelec chodził. Najpierw ujrzeli starego żołnierza.

— Czy to człowiek? — pyta wilk.

— Nie, ale był niegdyś człowiekiem.

Potem zobaczyli chłopczyka, idącego do szkoły.

— Czy to człowiek? — pyta wilk.

— Nie, — mówi lis, — dopiero będzie kiedyś człowiekiem.

Wkońcu nadszedł strzelec z dubeltówką na plecach i kordelasem u boku.

— Widzisz, oto idzie człowiek. Rzuć się na niego, a ja ucieknę do nory.

Wilk ruszył na człowieka. Strzelec, ujrzawszy go, powiada:

— Szkoda, że nie nabiłem strzelby kulą — i strzelił śrutem prosto w głowę wilka.

Wilk skrzywił się niemiłosiernie, ale nie dał się odstraszyć. Strzelec wypuścił na niego drugi ładunek. Wilk

zaciśnął zęby i rzucił się na człowieka, ale ten dobył kordelasa i zadał mu kilka cięć porządnych w prawo i w lewo.

Wilczysko, cały krwią zalany, wyjąć uciekł do lisa.

— Cóż bracie, — pyta lis, — jakże ci poszła walka z człowiekiem?

— Nie wyobrażałem sobie, że taki potężny! Najpierw wziął kij, który miał na plecach, dmuchnął weń i coś padło mi na pysk, co mię okrutnie bolało. Potem dmuchnął drugi raz i coś znowu w nogi rzucił, zupełnie jakby błyskawice i grad. A gdym się na niego rzucił, wydobył zebro z boku i tak mnie niem uczyłował, że ledwo z życiem uszedł.

— Widzisz, — mówi lis, — przechwalałeś się, a teraz musisz pokutować.

## LIS I GĘSI.

Lis pobiegł raz na łąkę, na której pasło się stado dobrze utuczonych gęsi. Zaśmiał się i zawołał:

— Przychodzę jakby na zawołanie! Siedzicie tu razem i mogę was schrupać jedną po drugiej.

Gęsi zagegały przerażone, zerwały się i uderzyły w jęki błagania, aby lis darował im życie.

Lis na nic nie zważał, tylko zawołał:

— Niema łaski, musicie umierać!

Wkońcu jedna gaska zebrała się na odwagę i powiada:

— Jeżeli już mamy koniecznie umierać, to prosimy cię o jedną tylko łaskę. Pozwól nam się pomodlić i pożałować za grzechy. Potem staniemy rzędem i będziesz wybierał, którą zechcesz.

— Pozwalam. To prośba pobożna. Módlcie się, poczekam aż skończycie.

Więc pierwsza rozpoczęła długą modlitwę.

— Ge, ge, gege..., i nie skończyła.

Druga zniecierpliwiła się i zaczęła także :

— Ge, ge, ge, ge...

Za jej przykładem poszła trzecia i tak wkrótce wszystkie gęgały na całe gardło.

(Gdy skończą modlitwę, opowiem, co dalej było. Ale one wciąż jeszcze gęgają).



## KOŃ, WÓŁ, KOGUT, KOT I RAK.

Wieśniak jeden zaprzągnął do pługa konia i wołu. Wół szedł powoli, koń prędko, obu było niewygodnie i obaj męczyli się niepotrzebnie.

— Próżno nas trzyma gospodarz, — dowodzili. — Ciężko nam, a z roboty naszej nikt nie ma pożytku. Pójdźmy lepiej na wolność i sami postarajmy się o sposoby do życia.

Tak też i zrobili.

Szli i szli, nagle przybiega do nich czupurny kogut i pyta:

— A dokąd to, sąsiedzi?

— Gospodarz źle nas żywi i niepotrzebnie męczy; poszliśmy więc dokąd nas oczy poniosą, — odparli podróżni.

— To i ja idę z wami, — rzekł kogut.

— A tobie poco? Ziarna ci dają dosyć, siedzisz w wygodnym kurniku, a choćbyśmy cię nawet zabrali ze sobą, to nie nadążysz za nami.

— Dobrze wam mówić! Posłuchajcież, jakie mam życie. Mam ja niby wszystkich budzić. Otóż, jeżeli rano zapieję kukuryku, robotnicy biją mnie, dlaczego im spać nie daję. Spóźnię się, gniewa się gospodyni. Zaco karmić takiego wartogłowa. Gotowi mnie jeszcze zarznąć i upiec. Taka to moja dola. Ale nie bójcie się; będę leciał i was nie obciążę.

— No to idź z nami, — rzekli koń i wół.

Kogut leciał i piał kukuryku; było im nawet weselej. Idą i idą. Nagle, ni stąd ni zowąd wyskakuje kot i woła:

— Miau, miau, dokąd idziecie?

Podróżni opowiedzieli kotowi poco i naco podróżują, on zaś powiada:

— I ja z wami.

— A tobie poco? oblizujesz wszystkie półmiski w kuchni, pijesz mleka do syta i mruczysz sobie na piecu.

— Dobrze wam mówić! Gdybyście byli w mojej skórze, inaczej byście gadali. Myszom nie można podołać w spiżarniach i spichrzach, a tu są i szczury; rób co chcesz. Gospodyni urąga, krzyczy, że kot spasał się, że się rozle-niwił; a ja walczę ze szczurami nie na życie, lecz na śmierć. Nie, dość mam tego. Niech żyje wolność!

I skoczył koniowi na grzbiet. Roześmieli się wszyscy i poszli dalej.

Idą i idą, wtem, widzą, że pełza rak za nimi.

— Stójcie, stójcie, szermierze wolności; i ja z wami!

Ze zdziwieniem spojrzeli podróżni na raka i zaczęli zeń podrwiwać.

— Czyż tobie źle na świecie? Wygrzewasz się na słońcu, lub kąpiesz się w wodzie!

Nie znacie wcale spraw moich, przyjaciele, — rak im odpowie. — U nas tak: Dopókiś młody, siedź w norze bezpiecznie. A gdy podrośniesz, szukaj sobie schronienia na brzegu, a dziurę ustap młodszym. Łazisz sobie po brzegu, a tu chaps! — łapia cię, jak swego. Wierzajcie i rakowi życie nie w smak. Idę z wami, co będzie, to będzie.

Rak uczepił się kleszczami za ogon woła i tak w pięcioro szli dalej w dobrej zgodzie. Na popasach, koń z wołem skubali trawę na łące, rak wyszukiwał wodę dla nich i dla siebie, kot łapał myszy i ptaszki i zabawiał towarzystwo różnemi figlarni, kogut zbierał ziarenka i był niejako na czatach. Wszyscy byli szczęśliwi i zadowoleni.

Pewnego razu przysła burza z deszczem. Rak lepiej od innych znosił wilgoć, ale reszta dygotała z zimna. Jęli wzdychać do strzechy. Na brzegu lasu spostrzegli opuszczoną chatę, w której mieszkał djabeł z djablikiem. Obaj byli w odwiedzinach u czarownicy i chatka była niezamknięta. Podróżni weszli do niej.

— Ja lubię chłodek i zostanę w sieni, — rzekł koń.

— A ja wolę ciepło — i wół wszedł do izby.

— Moje miejsce pod stropem, — oświadczył kogut i frunął pod sufit.

Kot wskoczył na piec, rak ukrył się w kubie z wodą. W ten sposób wszyscy umieścili się jak najwygodniej.

O północy djable powrócili z gościny. Stary djabeł wszedł do sieni, a natknąwszy się na konia, zapytał:

— Kto tu?

— Jam pan z tabakierką, może chcesz tabaczki? — rzekł koń. Co mówiąc kopnął djabła w mordę tak mocno, że aż mu krew pociekła z nosa.

Djabeł wpadł do izby i natknąwszy się na woła, pyta:

— Kto tu?

— Ja, parobek z widłami, — odparł wół i podniósł go w górę rogami.



Z trudem odzyskawszy przytomność, djabeł rzucił się do pieca. Ale tu wpadł nań kot i zaczął go drapać. Djabeł do kubła, lecz stamtąd wypełził rak i cap go za łydke.

Djabeł uciekł na strych, ale tam kur zapieł. Niepomny siebie ze strachu, djabeł wybiegł z izby i puścił się w las, a za nim djablik. Wkrótce obaj znikli w gęstwinie.

A nasi przyjaciele opanowawszy izdebkę, żyli w niej długie lata.

### STOLIK „NAKRYJ SIĘ“, ZŁOTY OSIEL I KIJ SAMOBIJ,

Był krawiec przed laty. Miał trzech synów i jedną kozę. Koza musiała mieć dobre pożywienie; trzeba było prowadzić ją codzień na paszę, bo żywiła wszystkich mlekiem swoim. Synowie pasali ją po kolei. Razu jednego najstarszy zaprowadził ją na cmentarz, gdzie były zioła najpiękniejsze. Pasła się i skakała. Wieczorem, kiedy czas było wracać do domu, pyta kozy:

— Czy jesteś syta?

A koza mu na to:

„Jestem syta, najedzona,

Nie nęci mnie trawka zielona.

Mee, mee!”

— To chodź do domu, — mówi chłopiec.

Wziął powróż, zaprowadził ją do obórki i uwiązał.

— Czy koza miała dosyć pożywienia? — pyta krawiec;

— O, jest syta, najedzona, nie nęci jej trawka zielona, — mówi syn.

Ale ojciec chciał się sam przekonać; poszedł do obórki, pogłaskał stworzenie i pyta:

— Kózko, czy jesteś syta?

Koza mu na to:

„O nie, nie, nie!

Bom po rowach skakała,

A trawkim nie skubała.“

— Co słyszę! — krzyknął krawiec. Biegnie do chłopca i woła: — Kłamco jeden! — Mówisz, że koza syta, a wygłodziłeś ją! — I w gniewie, porwał łokieć ze ściany, obił chłopca i wypędził.

Nazajutrz, przyszła kolej na drugiego syna. Wyszukał on w ogrodzie miejsce zarosłe samem zielskiem, które koza wyjadła do czysta. Wieczorem, gdy miał wracać, pyta:

— Kozo, czyś syta?

A koza na to:

„Jestem syta, najedzona,

Nie nęci mnie trawka zielona.

Mee, mee!“

— To chodź do domu, — powiada chłopiec.

Pociągnął ją do domu i przywiązał w obórcie.

— A co? — pyta krawiec, — czy koza nakarmiona.

— O, jest syta, najedzona, nie nęci jej trawka zielona, — mówi syn.

Krawiec nie chciał temu wierzyć. Sam idzie do obórki i pyta:

— Kozo, czyś syta?

A koza na to:

„Oj nie, nie, nie!

Bom po rowach skakała,

A trawkim nie skubała!

Mee, mee!“

— Łotr bezbożny! — krzyknął krawiec: — głódzić tobie pocziwe zwierzę!

Poszedł do domu i łokciem chłopca wypędził.

Przyszła kolej na trzeciego syna. Ten chciał się dobrze sprawić. Wyszukał krzaków z liściem najpiękniejszym i pastniemi kozę. Wieczorem, kiedy mieli wracać, pyta:

— Kozo, czyś syta?

A koza na to:

„Jestem syta, najedzona,

Nie nęci mnie trawka zielona!

Mee, mee!”

— To chodź do domu, — mówi chłopiec. Zaprowadził ją do obórki i uwiązał.

— A co? — pyta krawiec: — czy koza miała dosyć pożywienia?

— O, jest syta, najedzona, nie nęci jej trawka zielona.

Krawiec nie wierzył; idzie do obórki i pyta:

— Kozo, czyś syta?

„Oj nie, nie, nie,

Bom po rowach skakała,

A trawkim nie skubała,

Mee!”

— O łgarze przekłęci! — krzyknął krawiec. — Jeden w drugiego bezbożny i niedbały. Nie wystrychniecie mnie już na dudka!

I w złości pobiegł do domu i wygarbował plecy chłopakowi, tak, że aż ten z domu uciekł.

Stary krawiec został sam z kozą. Na drugi dzień poszedł do obory, pogłaskał kozę i mówi:

— Chodź, zwierzątko moje drogie, zaprowadzę cię sam na paszę.

Wziął powróż i zaprowadził ją w krzaki, ulubione przez kozy.

— Choć raz nasycisz się dowoli, — mówi i pasł ją aż do wieczora.

Wtedy pyta:

— Kozo, czyś syta?

A koza na to:

„Jestem syta, najedzona,  
Nie nęci mnie trawka zielona.

Mee, mee!”

— Więc chodź do domu, — rzecze krawiec.

Zaprowadził ją do obórki i uwiązał. Kiedy miał odchodzić, zawrócił się raz jeszcze i mówi:

— Najadłaś się raz przecie?

Ale koza zawołała jak poprzednio:

„Oj nie, nie, nie,

Bom po rowach skakała,

A trawkim nie skubała!

Mee, mee!”

Usłyszawszy to krawiec zdumiał się i pojął, że wypędził synów niesłusznie.

— Poczekajże, niewdzięczne stworzenie! krzyknął. — Wypędzić cię z domu, to za mało. Dam ci taką nauczkę, że się już nie pokażesz pomiędzy uczciwymi krawcami.

Śpiesznie skoczył, przyniósł brzytwę, namydlił kozie głowę i ogolił ją, jak kolano. Ponieważ bić łokciem byłoby to dla niej za wiele honoru, chwycił więc bat i zaczął ją tak okładać, że w wielkich susach uciekla.

Krawiec wpadł w ciężki smutek, zostawszy sam jeden w domu. Chciałby mieć synów przy sobie, ale nikt nie wiedział, gdzie się podzieli. Najstarszy wstąpił do stolarza na naukę. Uczył się pilnie i wytrwale. Gdy nadszedł czas wyzwolin, majster darował mu stolik ze zwyczajnego drzewa. Nie wyglądał osobliwie, ale miał przymiot znakomity. Trzeba go było tylko postawić i powiedzieć: „Stoliku, nakryj się!”, a nakrywał się zaraz czystym obrusem, zjawiały się na nim: talerz, nóż i widelec, misy z potrawami warzonymi i pieczonymi i błyszcząca szklanka wina czerwonego, tak, że aż się serce śmiało.

Czeladnik pomyślał sobie:

— Wystarczy mi tego na całe życie — i ruszył wesół i z dobrą myślą w świat daleki. Nie troszczył się wcale o to, czy gospoda zła czy dobra i czy można czego w niej dostać, czy nie. Jeśli mu się podobało, to nie zachodził nigdzie, tylko na polu, na łące, w lesie, gdzie miał ochotę, zdejmował stolik z ramion, stawiał przed sobą, mówił: „Stoliku, nakryj się!” — i miał wszystko, czego serce zapragnie. Wkońcu przyszło mu na myśl wrócić do ojca. Gniew jego może się ułagodził, a ze stolikiem samokarmem przyjąłby go pewnie. Ale zdarzyło się tak, że wracając, wstąpił wieczorem do karczmy. Było tam pełno gości, którzy go pozdrowili i zaprosili, żeby usiadł i jadł z nimi, bo pewno już nie dostanie niczego.

— Nic, — odpowiada stolarz, — nie chcę jednak wam odejmować tej odrobiny; wolę was sam ugościć.

Śmiano się, myśląc, że to żarty; ale on postawił swój stolik drewniany na środku izby i powiedział:

— Stoliku, nakryj się!

W mgnieniu oka stolik był zastawiony potrawami, tak smaczными, jakichby gospodarz nie mógł dostarczyć i których zapach przyjemnie nęcił gości.

— Dalej, przyjaciele, do jadła! — mówi stolarz, a goście nie dali się długo prosić. Przysunęli się, wzięli noże i rażno zabrali się do jedzenia.

Co ich najbardziej dziwiło, to to, że jak tylko misa która wypróżniona została, zaraz druga pełna stawiała sama na jej miejscu.

Karczmarz stał w kącie i przyglądał się. Nie wiedział co na to powiedzieć, ale myślał sobie: „Zdałby mi się taki kucharz w gospodarstwie.”

Stolarz i towarzysze jego weselili się aż do późnej nocy. Wkońcu poszli spać. Czeladnik położył się także i postawił stolik przy ścianie.



Karczmarzowi nie dawała spokoju myśl o stoliku.

Przypomniat sobie, że miał na strychu stary stolik, zupełnie podobny. Przyniósł go cichaczem i zamienił na stolik cudowny. Nazajutrz, stolarz zapłacił za nocleg, zabrał stolik, nie domyślając się, że zamieniony i poszedł swoją drogą. W południe przyszedł do ojca, który go przyjął z wielką radością.

— No, synu kochany, czego się nauczyłeś? — pyta krawiec.

— Ojcze, jestem stolarzem.

— Dobre rzemiosło, — odpowiada stary: — ale co przyniosłeś z wędrowki?

— Najlepsze, com przyniósł, ojcze, to ten stolik.

Krawiec obejrzał stolik na wszystkie strony i mówi:

— Na tem nie zyskałeś, bo to stolik stary i wart niewiele.

— Ależ to stolik samokarm, — powiada syn: — jak go postawię i powiem żeby się nakrył, to zaraz stają na nim najsmaczniejsze potrawy i wino. Aż się dusza raduje! Sprowadźcie tylko wszystkich krewnych i przyjaciół, niech się nasycą i pokrzepią, bo stolik nasyci wszystkich.

Kiedy goście się zebrali, postawił stolik na środku pokoju i mówi:

— Stoliku, nakryj się!

Ale stolik ani drgnął i stał pusty, jak każdy inny nie rozumiejący zaklęcia. Biedny czeladnik spostrzegł, że zamieniono mu stolik. Wstydził się, że stał, jak kłamca, a krewni wyśmiali go i musieli wracać do domu bez posiłku. Ojciec zabrał się znowu do krawiectwa, a syn poszedł na robotę do majstra.

Drugi syn krawca dostał się do młynarza i był u niego w terminie. Gdy się wyzwolił, majster powiada:

— Zato, żeś się dobrze sprawował, daruję ci osła osobliwszego rodzaju, bo nie ciągnie wozu i nie dźwiga worków.

— Do czego więc służy? — pyta czeladnik.

— Pluje złotem, — odpowie młynarz. Jeżeli postawisz go na obrusie i powiesz „Brikebrik!“ to pocziwe stworzenie pluć będzie złotem bez końca.

— To dobra rzecz, — powiada czeladnik. Podziękował majstrowi i ruszył w świat.

Gdy potrzebował pieniędzy, mówił tylko do osła:

„Brikebrik!“ — i złoto padało jak deszcz, tak, że potrzebował tylko z ziemi je zbierać.

Gdzie się pokazał, kupował najlepsze rzeczy, a im były droższe, tem lepiej było, bo miał zawsze pełną kieszeń.

Włóczył się tak czas jakiś po świecie i nareszcie pomyślał sobie:

— Trzeba odnaleźć ojca. Jak mu pokażę złotego osła, to zapomni o gniewie i przyjmie mnie dobrze.

Zdarzyło się, że młynarz dostał się do tej samej gospody, w której bratu zamieniono stolik. Prowadził osła za sobą. Karczmarz chciał wziąć bydlę od niego i uwiązać, ale młody czeladnik powiada:

— E, nie trudźcie się, zaprowadzę sam siwosza do stajni i sam go uwiążę, bo muszę wiedzieć, gdzie stoi.

Karczmarzowi wydało się to dziwnem i myślał, że taki, który sam osła obrządzać musi, nie ma wiele pieniędzy na przejedzenie; ale kiedy nieznajomy sięgnął do kieszeni, wyciągnął dwie sztabki złota i powiedział, żeby mu przyrządzono co dobrego na wieczerzę, zrobił wielkie oczy, pobiegł i wybrał, co miał najlepszego. Po uczcie gość pyta, co winien. Karczmarz nie żałował podwójnej kredki i powiedział, że trzeba dolożyć jeszcze ze dwie sztuki złota. Czładnik sięgnął do kieszeni, ale nie miał więcej pieniędzy.

— Poczekajcie chwileczkę, panie gospodarzu, — mówi — pójdę tylko i przyniosę złota.

Zabrał obrus ze sobą. Karczmarz nie wiedział, co to ma znaczyć. Zciekawiony, idzie milczkiem za nim, a że gość zasunął drzwi od stajni, więc podgląda przez szparę.

Czeladnik rozłożył obrus pod osłem i zawołał: „Brikebrik“ i w tejże chwili zwierzę zaczęło wyrzucać złoto tak, że padało porządnym gradem na ziemię.

— Tam do licha, — powiada gospodarz: — więc to tak robią się dukaty! Taki worek, to wcale dobra rzecz!

Gość zapłacił za biesiadę i położył się spać, a gospodarz zakradł się w nocy do stajni, wyprowadził osła i postawił innego na jego miejsce.

Na drugi dzień wczesnym rankiem, czeladnik wyruszył z osłem, myśląc, że ma swego osła złotego.

W południe przybył do ojca, który się ucieszył na jego widok i przyjął go chętnie.

— Czemże zostałeś, mój synu? — pyta,

— Młynarzem, ojcie kochany, — odpowiedział syn.

— Cóżeś zyskał na wędrowce?

— Tylko jednego osła.

— Oslów jest tu dosyć, — mówi ojciec, wołałbym już dobrą skórę, niż osła.

— Tak, — mówi syn, — ale to nie zwyczajny osiel, tylko osiel złoty. Gdy powiem „brikebrik“, to pocziwe stworzenie wyrzuci wam cały obrus pieniędzy. Każcie tylko zawołać wszystkich krewnych, to zrobię z nich ludzi bogatych.

— To mi się podoba, — powiada krawiec, — nie będę potrzebował męczyć się nad igłą.

Sam pośpieszył i zwołał krewnych. Skoro tylko się zebrali, młynarz kazał im usiąść, rozłożył chustkę i wprowadził osła do izby.

— Baczność! — mówi i woła: — brikebrik!

Ale złoto nie padało i pokazało się, że osieł nie umie tej sztuki, bo nie każdy ją potrafi.

Biedny młynarz opuścił nos na kwintę, widząc, że jest oszukany i przeprosił krewnych, którzy odeszli równie biedni, jak przyszli.

Nie było rady, stary musiał znowu wziąć się do igły, a młody zgodzić się do młynarza.

Trzeciego brata wyzwolił tokarz, a że tokarstwo jest trudnem rzemiosłem, więc musiał terminować najdłużej.

Bracia donieśli mu listownie, jak źle im się powiodło, jak to karczmarz pozbawił ich cudownego dorobku.

Gdy się tokarz wyzwolił i miał odejść, majster darował mu w nagrodę przykładowej pracy worek i rzekł:

— W worku tym znajduje się kij.

— Worek zarzucę sobie na plecy i może mi się przydać, ale poco ten kij? To ciężar niepotrzebny.

— A jednak i on ci się nieraz przyda, — odpowie majster. — Gdy ci kto krzywdę zrobi, powiedz tylko: „kiju, wyskocz z worka!“ a kij wyskoczy, wpadnie na ludzi i zacznie ich tak okładać po plecach, że się przez cały tydzień nie ruszą. Bić będzie dopóty, dopóki mu nie powiesz: „Kiju, do worka!“

Czeladnik podziękował, zawiesił worek na plecach, a gdy kto zbliżał się zanedo i chciał go skrzywdzić, to mówił tylko: „Kiju wyskocz z worka!“, a kij wyskakiwał i zanim się kto obejrzał, już trzepał się niemiłosiernie po plecach.

Młody tokarz przyszedł wieczorem do gospody, w której tak oszukano jego braci. Położył worek przed sobą na stole i dalej opowiadać o tem, co widział na świecie godnego uwagi.

— Bywa — mówi — taki stolik samokryj, taki złoty osieł i tym podobne dobre rzeczy, któremi nie gardzę, ale wszystko to nic w porównaniu ze skarbem, który zdobyłem i który mam w worku.

Karczmarz nadstawił uszu.

— Co to może być takiego? — myślał: — pewnie worek napelniony drogiemi kamieniami. Powiniennem go zdobyć i to tanim kosztem, bo do trzech razy sztuka.

Kiedy nadeszła pora odpoczynku, gość wyciągnął się na ławie i położył sobie worek pod głowę, zamiast poduszki. Karczmarz czekał, a gdy mu się wydało, że gość śpi twardo, zakradł się i ciągnie a szarpie nieznacznie za worek, próbując, czy mu się nie uda zastąpić go innym workiem.

Tokarz czekał tylko na to, a kiedy gospodarz chciał się odważyć i szarpnąć mocniej, zawołał:

— Kiju, wyskocz z worka!

Kij skoczył na karczmarza i sprawił mu łaźnię, co się zowie. Karczmarz krzyczał przeraźliwie, ale im głośniej krzyczał, tem silniej kij wybijał mu takt na plecach, aż upadł z bólu na ziemię.

Wtedy tokarz powiada:

— Jeżeli nie oddasz stolika samokryja i złotego osła, to taniec zaczniesz na nowo.

— O nie, nie! wołał karczmarz pokornie, — oddam wszystko najchętniej, niech tylko to lichy przeklęte wróci do worka.

Na to czeladnik:

— Niech i tak będzie, zlituję się nad tobą, ale pilnuj się dobrze. Co rzekłszy, zawołał: „kiju do worka! — i kij przestał bić karczmarza.

Nazajutrz, tokarz wyruszył do ojca z cudownym stolikiem i złotym osłem.

Krawiec ucieszył się, widząc go i pyta, czego się nauczył u ludzi.

— Jestem tokarzem, ojcie kochańcy.

— Oj, to trudne rzemiosło — mówi ojciec. — A cóż przyniosłeś z wędrowki swojej?



— Rzecz drogocenną, ojcie kochany — odpowie: — Kij w worku!

— Co? — krzyknie ojciec: — kij? To nic nie warte. Tam mógłbyś sobie kij wyciąć z byle drzewa.

— Ale nie taki, ojcie drogi, bo jak do tego powiem: „Kiju, wyskocz z worka!” to wyskakuje i młóci bez miłosierdzia tego, kto mnie dokuczy. Bić nie przestaje, dopóki ofiara nie legnie na ziemi i nie zacznie prosić o miłosierdzie. Zapomocą tego kija odebrałem cudowny stolik i złotego osła, które karczmarz złodziej pozabierał braciom. Każ że, ojcie ich przywołać i sproś wszystkich krewnych. Napoje ich i nasycę i jeszcze im kieszenie złotem napełnię.

Stary krawiec niebardzo wierzył, ale krewnych zgromadził. Wtedy tokarz rozciągnął obrus w pokoju, przyprowadza osła i rzecze:

— No, bracie kochany, rozmów się z nim.

Młynarz przemówił: „brikebrik” i w mgnieniu oka złoto posypało się na obrus, jak deszcz ulewny, a osieł sypać nie przestawał, póki wszyscy nie mieli tyle, że więcej unieść by nie mogli. (Widzę, że i tybys chętnie był z nimi!)

Potem tokarz przyniósł stolik i mówi:

— Bracie kochany, przemów do niego.

Ledwie stolarz wymówił: „stoliku, nakryj się!” — już był nakryty i zastawiony obficie najlepszymi potrawami.

Wtedy zaczęła się uczta, jakiej pocziwy krawiec nie widział jeszcze w domu swoim i cała rodzina była razem aż do późnej nocy. Wszyscy byli weseli i zadowoleni. Krawiec zamknął do szafy igłę, nici, łokieć i żelazko i żył z synami w radości i dostatku.

Ale co się stało z kozą, z powodu której krawiec wypędził trzech synów swoich?

Koza wstydziła się, że ma łysą głowę i schowała się w lisiej norze. Kiedy lis wrócił do domu, para wielkich oczu zaiskrzyła się doń w ciemności. Przestraszył się i uciekł.

Spotyka go niedźwiedź, a że lis był bardzo wykrętny, więc pyta go mysio:

— Co ci to bracie! Czemu tak wyglądasz?

— Bo zwierz straszliwy siedzi w norze mojej, — powiada lis. — Spojrzał na mnie ślepiami ognistymi, więc uciekł.

— Wypędzimy go! — mówi niedźwiedź.

Poszedł z lisem do nory, zagląda, ale gdy ujrzał oczy ogniste, strach opanował go także.

Uciekł, bo nie chciał mieć do czynienia ze strasznym stworzeniem.

Spotkała go pszczoła, a widząc, że jakiś nieswój, powiada:

— Niedźwiedziu, czemu masz taką strapioną minę? Gdzie się podziała twoja wesołość?

— Dobrze ci żartować, — powiada niedźwiedź: — jakiś straszny zwierz siedzi w lisiej norze i nie możemy go wypędzić.

A pszczoła na to:

— Żal mi ciebie niedźwiedziu. Jestem stworzenie małe i słabe, na które nie spoglądacie nawet po drodze, ale przypuszczam, że będę mogła wam pomóc.

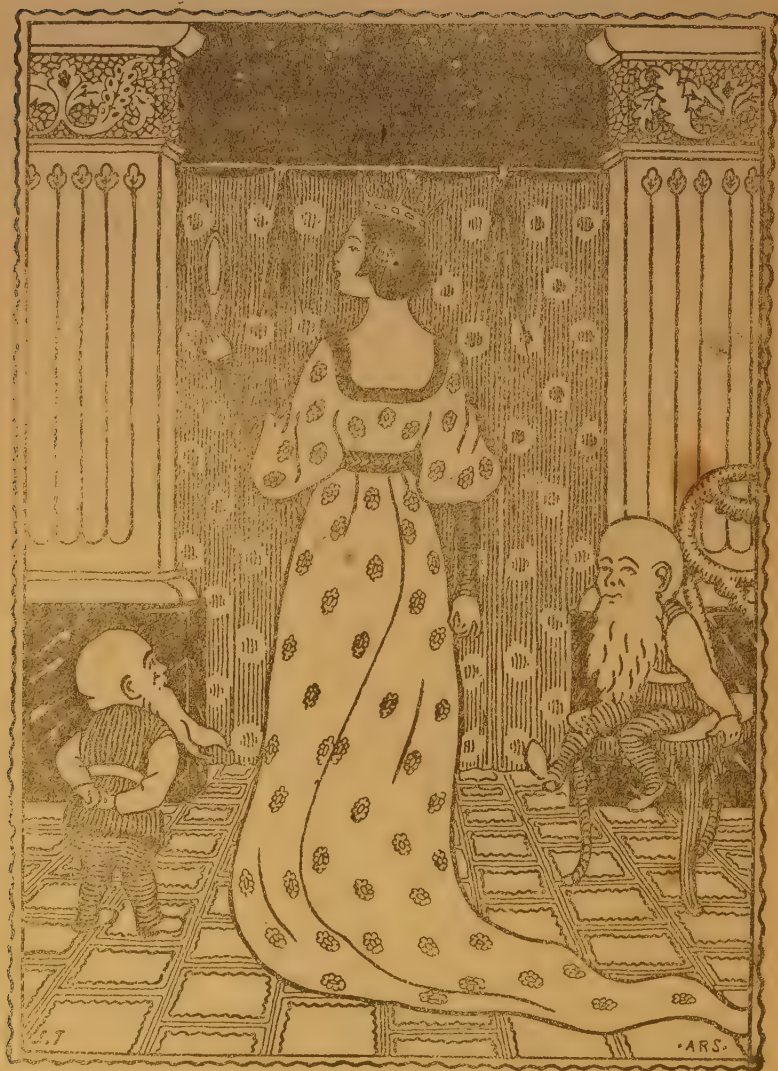
Poleciała do lisiej nory, siadła kozie na łbie wygolonym i ukuła ją tak silnie, że ta zerwała się, zabeczwała: mee, mee! — i popędziła w świat, jak szalona.

Do dziś dnia nikt nie wie, gdzie się podziała.

### BIAŁOŚNIEŻKA.

Działo się to dawno bardzo, jakoś w środku zimy. Płatki śniegu padały jak pierze z wysokiego nieba.

Królowa siedziała, szyjąc przy oknie, ujętem w czarne drzewo hebanowe. Podniosła oczy, spojrzała na śnieg i w tejże



chwili ukluła się w palec. Trzy krople krwi upadły na śnieg. Czerwona barwa odbijała tak ślicznie od śniegu białego, że królowa pomyślała sobie:

„O gdybym ja miała dziecko, jak śnieg białe, jak krew rumiane i jak ta rama u okna czarne.“

Wkrótce potem urodziła się jej córeczka jak śnieg biała, jak krew rumiana, z włosami czarnymi jak heban.

Nazwano ją Białośnieżką.

Królowa zaś umarła zaraz po jej urodzeniu.

W rok potem, król pojął drugą żonę. Była piękna i młoda, ale dumna i zazdrosna. Nie mogła znieść tego, aby ktokolwiek od niej był piękniejszy. Miała ona osobliwsze zwierciadło. Stawała przed niem, przyglądała się sobie i mówiła:

„Zwierciadelko, powiedz przecie,  
Kto jest najpiękniejszy w świecie?“

A zwierciadło odpowiadało:

„Tyś, królowo, najpiękniejsza,  
Najbielsza i najzgrabniejsza.“

Wtedy była zadowolona, bo wiedziała, że zwierciadło mówi prawdę.

Białośnieżka rosła i była coraz to śliczniejsza. Gdy skończyła lat siedm, była tak piękna, jak jasny dzień, piękniejsza od samej królowej. A gdy ta razu jednego zapytała zwierciadła, kto najpiękniejszy, odpowiedziało:

„Twa uroda głośno słynie,  
Po całej naszej krainie,  
Lecz Białośnieżka dziewica  
Stokroć piękniejsze ma lica.“

Królowa zlekła się. Zżółkła i zzieleniała z zazdrości.

Od tej chwili, co spojrzy na Białośnieżkę, serce przewraca się w niej z nienawiści ku królownie. Zazdrość i nienawiść

rosły, jak chwast jaki w sercu jej coraz to więcej i więcej, tak, że nie miała już spokoju ani w dzień, ani w nocy. Zawołała strzelca i powiada:

Wyprowadź dziecko do lasu! Nie mogę już patrzeć na nie dłużej! Zabij je, a płuca i wątrobę przynieś mi na dowód posłuszeństwa.

Strzelec musiał usłuchać. Wyprowadził królowną do lasu, naciągnął łuk i już miał przebić jej serce niewinne, gdy poczęła płakać i wołać:

— Daruj mi życie, pobiegnę w głąb lasu i nie wrócę nigdy do domu! —

Strzelcowi zmiękło serce i powiada:

— No, więc puszczam cię wolno, biedne dziecko, — a w duszy pomyślał: — dzikie zwierzęta rozszarpia cię wkrótce!

Pomimo to, czuł, że ciężki kamień spadł mu z serca, gdy pomyślał, iż nie potrzebuje odbierać dziecku życia. Właśnie łania przebiegła obok niego. Zabił ją, wziął jej płuca i wątrobę i zaniósł królowej.

Biedna dziecina była w lesie sama, jak palec. Strach ją przejmował. Patrzała na liście na drzewach i nie wiedziała jak sobie poradzić. Poczęła biec prosto przed siebie, przez ostre kamienie i ciernie, a dzikie zwierzęta przebiegały koło niej i nie robiły jej krzywdy najmniejszej. Biegła, póki mogła utrzymać się na nogach. Wieczór zapadł. Ujrzała przed sobą domek maleńki. Weszła do środka, aby wypocząć. W domku wszystko było małe, ale tak śliczne i czyste, że wypowiedzieć trudno. Stał tam stolik biało nakryty, zastawiony talerzykami i kubkami, nożykami i widelcami. Wszystkiego było po siedm. Pod ścianą było siedm łóżek ustawionych rzędem, każde zasłane białym prześcieradłem.

Białośnieżka, spragniona i głodna, ujęła z każdego kubka po kropelce wina, bo nie chciała zabierać wszyst-



kiego jednemu. Potem, czując wielkie zmęczenie, chciała położyć się na łóżku, ale jedno było za krótkie, drugie za długie. Dopiero siódme okazało się w sam raz dobre, więc położyła się na niem, poleciała się Bożu i usnęła.

Gdy się ściemniło, mieszkańcy domku powrócili. Było ich siedmiu karzełków, którzy po górach kopią i kuja kruszce rozmaite. Zapalili siedm świeczek, które rozjaśniły cały pokój. Wtedy to spostrzegli, że ktoś obcy musiał być u nich, bo było trochę nieporządku, którego, odchodząc, nie zostawili.

Pierwszy spytał :

— Kto siedział na mojem krzeselku ?

Drugi :

— Kto jadł z mego talerza ?

Trzeci :

— Kto mi chleb łamał ?

Czwarty :

— Kto jadł moją jarzynę ?

Piąty :

— Kto jadł moim widelcem ?

Szósty :

— Kto krajał moim nożykiem ?

A siódmy :

— Kto pił z mojego kubka ?

Pierwszy obejrzał się. Spostrzegł na swoim łóżku ślad maleńkiej stopki i zawołał :

Kto stąpał po mojem łóżku ?

Inni nadbiegli także i wołali :

— I na mojem ktoś leżał.

Siódmy, spojrzawszy na łóżko swoje, zobaczył Białosnieżkę, śpiącą na niem smacznie. Zawołał towarzyszków, którzy zbiegli się zaraz i aż krzyknęli z podziwu. Przynieśli siedm świeczek i oświecili dziewczynkę.

— Mój Boże, mój Boże! — wołali, — jakie to dziecko prześliczne!

Cieszyli się tak bardzo, że nie obudzili jej i spała sobie w łóżeczku. Siódmy karzelek spał po godzinie z każdym z towarzyszków i tak noc minęła.

Rano Białośnieżka obudziła się wreszcie i ujrawszy siedmiu karłów, zlekła się bardzo. Ale oni przyjaźnie spytali:

— Jak się nazywasz?

— Białośnieżka.

— Jakim sposobem dostałaś się do nas? — pytali dalej.

Opowiedziała im, jak macocha chciała ją zgładzić ze świata, lecz strzelec się zlitował, jak biegła dzień cały, aż wreszcie napotkała ten domek.

Karzełkowie jej na to:

— Jeżeli będziesz nam dom prowadzić, gotować, prać, szyc, robić pończochy, utrzymywać wszystko w porządku i czystości, to możesz zostać u nas, a na niczem zbywać ci nie będzie.

— Dobrze, najchętniej — odrzekła Białośnieżka i została.

Zajmowała się domem i gospodarstwem; karzełkowie wychodzili rankiem w góry po złoto i kruszec, wieczorem wracali, a jedzenie musiało już być przygotowane.

Dziewczyna była sama przez dzień cały, więc dobrzy karzełkowie mówili jej zawsze:

— Strzeż się złej macochy. Dowie się ona niezadługo, żeś u nas. Nie wpuszczaj nikogo.

Królowa, pozbywszy się pasierbicy, była przekonana, że jest znowu pierwsza i najpiękniejsza, stanęła więc przed zwierciadłem i mówi:

„Zwierciadelko, powiedz przecie,  
Kto jest najpiękniejszy w świecie?”

A zwierciadło na to :

„Twa uroda głośno słynie  
Po całej naszej krainie,  
Lecz za lasami, górami,  
Pomiędzy siedmiu karłami,  
Białośnieżka najpiękniejsza,  
Najbielsza i najzgrabniejsza“.

Królowa zlekła się, bo wiedziała, że zwierciadełko nigdy nie kłamie. Poznała, że strzelec oszukał ją, a Białośnieżka była jeszcze przy życiu. Odtąd myślała ciągle i nieustannie, jak się pozbyć królownej, bo zazdrość nie dawała jej spokoju. Wreszcie, obmyśliła coś nowego. Ufarbowowała sobie oblicze i ubrała się, jak stara przekupka. Zmieniła się do niepoznania. W tej postaci poszła za siedm gór i lasów do siedmiu karłów, zapukała do drzwi i woła :

— Ładny towar, a tani, tani !

Białośnieżka wyjrzała okienkiem i zawołała :

— Dzieńdobry, matko, co macie na sprzedaż ?

— Dobry towar, piękny towar, sznurowadła różnobarwne ! — odpowiedziała macocha, wydobywając sznurowadło, uplecione z barwnego jedwabiu.

— Mogę przecie wpuścić tę pocziwą kobietę, — pomyślała dziewczyna. Otworzyła drzwi i kupiła sobie sznurowadło.

— Dziecko ! — zawołała czarownica, — jak ty wyglądasz ! Poczekaj niech cię porządnie zasznuuję.

Białośnieżka bez namysłu stanęła przed nią i pozwoliła zasznuować się nowem sznurowadłem.

Czarownica poczęła sznurować tak szybko i tak silnie, że dziewczynie zabrakło oddechu i upadła jak nieżywa.

— Tak ! Już nie będziesz najpiękniejsza ! — powiedziała czarownica i umknęła.

W chwilę potem karzelkowie wrócili do domu na wieczerzę. Jakże się przestraszyli, widząc kochaną Biało-

śnieżkę na ziemi. Nie ruszała się i nie dawała znaku życia. Zdawało się, że umarła. Podnieśli ją do góry, a widząc, że za mocno zasznurowana, rozcięli tasiemkę. Dziewczynka poczęła oddychać i odżyła potroszę. Karzelkowie, dowiedziawszy się, co zaszło, rzekli :

— Stara przekupka, to nikt inny, jak tylko bezbożna królowa. Strzeż-że się i nie wpuszczaj nikogo, jeżeli nas niema w domu.

Macocha, wróciwszy do siebie, stanęła przed zwierciadłem i pyta :

„Zwierciadelko, powiedz przecie,  
Kto jest najpiękniejszy w świecie ?“

Zwierciadło odpowiedziało :

„Twa uroda głośno słynie  
Po całej naszej krainie,  
Lecz za lasami, górami,  
Pomiędzy siedmiu karłami,  
Białośnieżka najpiękniejsza,  
Najbielsza i najzgrabniejsza“.

Usłyszawszy to, królowa osłupiała. Krew zbiegła jej do serca, bo poznała, że Białośnieżka odżyła.

— Poczekajże, — zawołała, — wymyślę coś takiego, co cię zgładzi ze świata.

Znała się na czarach, więc zrobiła grzebień jadowity. Przebrała się, wzięła postać innej starej baby i poszła za siedm gór i lasów do siedmiu karłów.

— Dobry towar, a tani, tani !

Białośnieżka wyrzała i mówi :

— Idźcie dalej, nie wolno mi wpuszczać nikogo.

— Ale patrzeć to ci chyba wolno, — powiada stara, wyciągając grzebień.

Podniosła go do góry, a dziewczynie tak się spodobał, że dała się omamić i wpuściła starą do domu.

Kiedy się zgodziły o cenę, stara ozwała się:

— No poczekaj, uczeszę cię teraz porządnie:

Biedna Białośnieżka, nie zastanawiając się wcale, pozwoliła jej na to. Ale skoro tylko grzebień dotknął się do włosów, truczna poczęła działać i dziewczyna upadła bez zmysłów.

— Ty cudzie piękności, już cię niema, — syknęła niegodziwa macocha i uciekła.

Na szczęście, było to pod wieczór i karzełkowie wrócili wkrótce do domu. Ujrawszy Białośnieżkę bez życia na ziemi, odrazu domyśleli się, że to sprawka macochy. Zaczęli szukać i znaleźli grzebień jadowity. Skoro go wyjęli, Białośnieżka przyszła do siebie i opowiedziała im, co się z nią działo. Karzełkowie prosili ją znowu, aby się strzegła i nikomu drzwi nie odmykała.

Królowa tymczasem, wróciwszy do domu, stanęła przed zwierciadłem i pyta:

„Zwierciadelko, powiedz przecie,  
Kto jest najpiękniejszy w świecie?”

A zwierciadło znowu odpowiedziało tak, jak przedtem, że Białośnieżka. U słyszawszy to, królowa zatrzęsa się i za drżała ze złości.

— Ona musi umrzeć, — wołała, — choćbym to miała życiem przepłacić.

Poszła do komory oddalonej i ukrytej, gdzie nikt nie zaglądał i zrobiła tam zatrute jabłko. Na zewnątrz wyglądało ładnie, było białe i rumiane, tak, że kto je ujrzał, miał ochotę skosztować. Najmniejsza okruszynka tego jabłka sprowadzała śmierć.

Teraz królowa przebrała się po wiejsku i poszła za siedm gór i lasów do siedmiu karłów. Zapukała. Białośnieżka wyjrzała okienkiem i woła:



— Nie wolno mi wpuszczać nikogo. Karzełkowie zabronili.

To dobrze, — odparła wieśniaczka. Ja i tak pozbędę się swoich jabłek. Masz, daruję ci to jabłuszko.

— Nie, — mówi dziewczyna, nie wolno mi nic przyjmować.

— Czy boisz się trucizny? Patrz, przecinam jabłko na dwie części, czerwoną dam tobie, białą zjem sama.

Jabłko było tak zrobione, że tylko czerwona połówka była zatruta.

Owoc skusił dziewczynkę, a widząc, że wieśniaczka je także, nie mogła się powstrzymać, wyciągnęła rękę i, wzięła część zatrutą.

Połknęła odrobinę i padła martwa na ziemię.

Królowa spojrzała na nią okrutnym wzrokiem i zaśmiała się głośno, mówiąc:

— Biała jak śnieg, czerwona, jak krew, czarna, jak heban! No teraz karły cię nie obudzą!

Gdy w domu spytała zwierciadła, kto najpiękniejszy, odpowiedziało nareszcie:

„Tyś królowo, najpiękniejsza,  
Najbielsza i najgrabniejsza!”

Wtedy dopiero serce jej zaznało spokoju, ile go zaznać może serce zazdrosne,

Karły, wróciwszy wieczorem do domu, znaleźli Biało-śnieżkę na ziemi. Oddech nie wychodził już z jej piersi, — nie żyła. Podnieśli ją, szukali, czy niema przy niej czego zatrutego, rozsnurowali ją, czesali jej włosy, myli ją wodą i winem, ale wszystko daremnie. Kochane dziecko nie odżyło.

Położyli ją tedy na noszach, siedli wszyscy przy niej i opłakiwali. Płakali aż trzy dni, poczem mieli ją pochować.

Białośnieżka wyglądała jeszcze tak świeżo, tak była rumiana jak za życia, więc karzełkowie powiadają:

— Nie możemy jej nakryć czarną ziemią — i kazali zrobić trumnę przeźroczystą, ze szkła jasnego, tak, że widać ją było ze wszystkich stron.

Trumnę postawili na górze i jeden z nich był ciągle przy niej na straży. Zwierzęta rozmaite przybyły tam i opłakiwały Białośnieżkę, najpierw sowa, potem kruk, a wreszcie gołąbek.

Białośnieżka leżała przez długi czas w trumnie. Nie zmieniła się i wyglądała tak, jak gdyby spała, bo była biała jak śnieg, czerwona jak krew, a włosy miała czarne jak heban.

Razu jednego piękny królewicz zabłądził w tym lesie i nocował w chatce karzełków. Zobaczył trumnę na górze i napis złotemi literami i mówi do karzełków:

— Odstąpcie mi tę trumnę, dam wam za nią, ile zechcecie.

Ale karzełkowie odpowiedzieli:

— Nie oddamy jej za żadne skarby świata.

A on na to:

— Więc mi ją darujcie, bo nie będę mógł żyć, nie widząc Białośnieżki. Będę ją cenił i szanował, jak rzecz najdroższą.

Słyszac to, karzełkowie zlitowali się nad nim i dali mu trumnę.

Królewicz kazał nieść ją sługom na ramionach. Słudzy, idąc, potknęli się o krzaczek. Od tego wstrząśnienia kawałek jabłka, który królowna połknęła była, wypadł jej z gardła. W chwilę potem otworzyła oczy, podniosła wieko trumny do góry, usiadła i spojrzała wokoło.

— Mój Boże, gdzie jestem? — zawołała.

— Jesteś u mnie, — odpowiedział królewicz uradowany. — Kocham cię nad wszystko na świecie, chodź ze mną do zamku ojca mojego, będziesz moją żoną.

Białośnieżka zgodziła się na to; urządzono wspaniałe wesele.

Zaproszono na nie i macochę Białośnieżki. Bezbożna niewiasta ubrała się w piękne szaty, stanęła przed zwierciadłem i pyta, kto najpiękniejszy, a zwierciadło odpowiedziało:

„Twa uroda głośno słyńie  
Po całej naszej krainie,  
Lecz Białośnieżka dziewica  
Stokroć piękniejsza ma lica“.

Zła kobieta zaklęła głośno i zrobiło jej się tak jakoś strasznie, że nie mogła się uspokoić. Zrazu, nie chciała iść na wesele, ale wkońcu nie mogła wytrzymać, — musiała zobaczyć młodą królowę. Weszła na salę, a gdy poznała Białośnieżkę, taki strach, taka opanowała ją trwoga, że ruszyć się nie mogła.

Na rozżarzonych węglach stały już żelazne pantofle.

Wzięto je szczypcami i postawiono przed czarownicą, która musiała je włożyć i tańczyć w nich póty, póki nie upadła martwa na ziemię.

## CHŁOP I BIES.

Był chytry a mądry kmiotek, o którym dużo opowiadają, ale najciekawsze to, jak biesa kiedyś oszukał.

Kmiotek ten, zorawszy raz rolę, zabierał się zpowrotem do domu, o samym zmroku. Wtem, ujrzał na środku swego pola kupę węgla ognistych i gdy się zbliżył zdziwiony, ujrzał diabła, siedzącego na żarze.

— Siedzisz pewnie na skarbie, — przemówił kmiotek.

A jakże, mam tu tyle złota i srebra, ileś jeszcze nie widział, — odpowie bies.

— Skarb na mojem polu do mnie należy, — rzecze chłop.

— Będzie twoim, ale musisz mi dawać przez trzy lata połowę tego, co ci da ziemia. Mam dosyć pieniędzy i złota, ale pożądam owoców ziemskich.

Kmiotek zgodził się na to, mówiąc:

— Aby nie było sporów przy podziale, pamiętaj sobie, że dam ci to, co będzie nad ziemią, a sam wezmę to, co będzie w ziemi.

Bies nie miał nic przeciwko temu. Chytry kmić posiał rzepę i gdy nadeszły zbiory, bies miał same suche pożółkłe liście, a kmiotek kopał rzepę w najlepsze.

— Raz ci się udało, — wrzasnął djabeł, ale na drugi raz na mnie kolej. Ty weźmiesz to, co będzie nad ziemią, a ja to, co w ziemi.

— I owszem, — odparł chłop, a gdy przyszła pora siewu, zasiał pszenicę. Gdy dojrzała, poszedł w pole i ściął kłosa ze słomą aż do ziemi.

Bies nadbiega, patrzy, a tu tylko ściernie.

Wściekły, wrócił do nory, a chłop zabrał skarb do domu i zawołał:—

— Tak się oszukuje chytrych lisów!

## WYDEPTANE TRZEWIKI.

Był sobie król. Miał dwanaście córek, jedna piękniejsza od drugiej, które sypiały razem w dużej komnacie, a łóżka ich stały obok siebie. Król zamykał sam co wieczór drzwi na klucz i na zasuwę, skoro się tylko do snu poukładały. Pomimo to, trzewiki ich były co rano wydeptane, jakby po tańcu i nikt nie mógł dociec, jakim sposobem

to się działo. Wkońcu, król kazał rozgłosić, że ten, kto odkryje, gdzie jego córki tańczą w nocy, dostanie królestwo i otrzyma jedną z królewien za żonę. Ale kto się na próbę odważy i po trzech dniach nic nie wyjaśni, zostanie skazany na śmierć.

Wkrótce zjawił się królewicz, który chciał spróbować szczęścia. Przyjęto go bardzo godnie i zaprowadzono wieczorem do pokoju, przylegającego do komnaty sypialnej. Poślano mu tam łóżko. Miał uważać, gdzie się królewny wymykają w nocy i zostawiono drzwi od sypialni otworem, aby królewny nie mogły nic zrobić pokryjomu.

Królewiczowi powieki ciężły, jak ołowiane i zasnął.

Na drugi dzień wszystkie trzewiki królewien miały dziury w podeszwach. To samo było drugiej i trzeciej nocy, więc ścięto bez miłosierdzia głowę królewiczowi.

Przychodziło po nim jeszcze wielu młodzieńców, ale wszyscy płacili życiem za śmiałość.

W tym czasie żołnierz szedł drogą, wiodącą do miasta królewskiego. Był ranny i nie mógł już służyć. Spotkał staruszkę, która go spytała, dokąd idzie.

— Sam nie wiem, — odpowiedział i dodał żartem: — chciałbym dojść, gdzie królewny chodzą na tańce. Zostałbym królem na stare lata.

— O, to nie jest rzecz tak bardzo trudna, — mówi staruszka, — nie pij wina, które ci dadzą wieczorem, a położywszy się, udawaj, żeś zasnął.

Dała mu płaszcz jakis, mówiąc:

— Jak go zarzucisz na siebie, staniesz się niewidzialnym i niespostrzeżony będziesz mógł pójść za królewnięmi.

Żołnierz, słysząc te słowa, postanowił obrócić żart w rzeczywistość i poszedł do króla. Przyjęto go, jak wszystkich poprzedników i dano mu ubranie królewskie. Wieczorem zaprowadzono go do pokoju obok sypialni. Kiedy



się miał kłaść do łóżka, najstarsza z królewien przyniosła mu wino. Ale chytry żołnierz przywiązał sobie gąbkę pod brodą, wylał na nią wino i ani kropelki do ust nie wziął. Potem położył się i poleżawszy chwilę spokojnie, zaczął chrapać przeraźliwie, jak człowiek, pogrążony w śnie głębokim.

Królewny, słysząc to, śmiały się, a najstarsza mówi:

— Widocznie życie mu zbrzydło, bo szuka śmierci.

Wstały i poczęły wydobywać z szaf i skrzyń najpiękniejsze suknie. Stroiły się przed lustrem, skakały po pokoju i cieszyły się, że tańczyć będą. Tylko najmłodsza powiada:

— Cieszcie się, a mnie smutno jakoś, sama nie wiem czemu. Zdaje mi się, że nieszczęście nas spotka.

— Gaska z ciebie, — odparła najstarsza, — zawsze się boisz. Czyś już zapomniała, ilu królewiczów chodziło tu daremnie? Niepotrzebnie nawet dawałam na sen temu żołnierzowi. On by się i tak nie był obudził.

Ubrały się, wystroily i zjrzały do żołnierza, czy śpi.

Miał oczy zamknięte i leżał, jak zabity. Królewnom się wydało, że z jego strony nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Najstarsza zbliżyła się do swego łóżka i zapukała. Łóżko spuściło się w ziemię, a królewny zeszły za nim jedna po drugiej, z najstarszą na czele.

Żołnierz widział wszystko. Niewiele myśląc, zarzucił na siebie płaszczyk i niewidzialny poszedł w ślad za najmłodszą.

Na schodach przydeptał jej suknię niechcący.

— Co to jest? Kto mi suknię przydeptał?

— Nie bądź-że tak niemądra! — uspokajała ją najstarsza. — Zaczepiłaś się pewno o gwóźdź jaki.

Zeszedszy ze schodów, królewny znalazły się na drodze precudnej, wysadzanej drzewami o srebrnych liściach, które błyszczały i mieniały się w oczach. Żołnierz pomyślał:

— Muszę sobie wziąć stąd cokolwiek na znak, żem tu był — i ułamał gałązkę.

Trzask głośny dał się słyszeć. Najmłodsza zawołała z przestachem:

— Co się dzieje? Słyszaliście?

A najstarsza na to:

— Strzelają w zamku na wiwat, bo już wkrótce zdejmemy urok z naszych królewiczów.

Weszły na drugą stronę, wysadzoną drzewami o liściach złotych, a wkońcu na trzecią, gdzie liście były z przeczystych brylantów. Za każdym razem rozlegał się huk głośny. Najmłodsza trzęsła się ze strachu, ale najstarsza powtarzała ciągle, że to strzały. Wkońcu przyszły nad dużą wodę, na której było dwanaście łódek. W każdej z nich był królewicz.

Widocznie czekali oni na królowny i zabrawszy każdy po jednej, odpłynęli.

Żołnierz wskoczył do łódki z najmłodszą królowną.

— Nie wiem, co to znaczy, — ozwał się królewicz, — ale łódka dziś cięższa, niż zwykle i muszę robić wiosłami ze wszystkich sił.

— To chyba od upału, — mówi królowna. — I mnie bardzo gorąco, jestem jakoś źle usposobiona.

Na przeciwległym brzegu był jasno oświetlony pałac, wesola muzyka grzmiała; rozlegały się trąby i bębny.

Królewicze wprowadzili królowny do pałacu i poczęli tańczyć, każdy ze swoją ukochaną. Niewidzialny żołnierz tańczył także, a gdy która z królowien chciała się napić wina, wypijał je, tak, że niosła do ust próżny puchar. Zastanowiło to najmłodszą i zastraszyło, ale najstarsza umiała ją zmusić do milczenia.

Tańczyły do rana i przestały dopiero, gdy się im trzewiki zupełnie rozleciały. Królewicze przewieźli królowny

przez wodę. Na brzegu pożegnali się, obiecując sobie, że się zobaczą następnej nocy.

Żołnierz pobiegł naprzód, rzucił się na łóżko, a gdy królewny pomeczone i niewyspane weszły powoli do sypialni, chrapał już tak głośno, że siostry go usłyszały.

— Ten nas nie wyda, — mówiły.

Rozebrały się, pochowały piękne stroje, postawiły podarte trzewiki pod łóżkiem i położyły się spać.



Na drugi dzień żołnierz postanowił nic nie mówić i przyjrzeć się jeszcze temu, co królewny robią. Śledził je drugiej i trzeciej nocy. Wszystko odbyło się tak, jak pierwszej i królewny tańczyły póty, póki im trzewiki z nóg nie pospadały.

Trzeciej nocy żołnierz wziął pułar z pałacu zakłętego. Wybiła godzina, w której żołnierz miał dać odpowiedź królowi. Wziął tedy pułar i gałązki i poszedł śmiało. Królewny stały za drzwiami i słuchały, co powie.

Król pyta:

— Gdzie chodzą córki moje i z kim tańczą?

— Chodzą do podziemnego pałacu i tańczą z dwunastu królewiczami, — odparł żołnierz i opowiedział królowi wszystko, co widział, pokazując na dowód pułar i gałązki.

Król kazał przyjść córkom i zapytał :

— Czy to prawda?

One zaś, widząc, że się wszystko wydało i żadne wykrety nie pomogą, przyznały się do wszystkiego.

— Którą z nich chcesz wziąć za żonę, — pyta król.

— Jestem nie pierwszej młodości, więc dajcie mi najstarszą, — odpowiedział.

Wesele odbyło się jeszcze tego samego dnia i król obiecał oddać żołnierzowi królestwo po swojej śmierci.

Królewicze zaś zostali znowu zaklęci na tyle dni, ile noc<sup>ie</sup> przetańczyli z królewnami.

### WYBREDNY PAROBCZAK.

Pewien parobczak tak był wybredny na dobry chleb gospodarza, że groch ugotowany jadł odwróconą łyżką jakby na kpiny.

Ale kiedy wyrósł na mężczyznę, a potem się ożenił i zbiedniał, żyjąc gdzieś na komornem, przyszedł do gospodarza prosić o zapomogę.

Ale gospodarz odpowiedział mu zaraz, że niema innego zboża, tylko groch, którego on nie lubił.

— Zlitujcie się, gospodarzu, dajcie choć grochu!

Poszli do spichrza; gospodarz zaczął odwrotną stroną szufli sypać groch do worka. Ale na odwrotnej stronie szufli żadne ziarno zatrzymać się nie mogło i stąd do worka nie można było nic wsypać.

— Gospodarzu, czemu tak czynicie? — zapytuje zdziwiony parobek.

Przypomniiał mu gospodarz, jak on jadł groch u niego.

Parobek żałował tego, co było; ulitował się gospodarz nad dawnym sługą i dał mu zboża.

---



## 9. BAJKA ROSYJSKA.

### SPRAWIEDLIWA RÓZGA.

Na wschodzie, gdzie jutrzienka rumieni się jak młode dziewczę, było wspaniałe państwo: i ziemi tam i lasów wody i ptaków różnopiórych i zwierząt różnoskórych, — wszystkiego, wszystkiego w bród! A słońce świeciło i grzało przez cały rok okrągły, jak u nas w lecie. I król był jak słońce: rozumny, dobry, dla każdego dostępny, łaskawy, czy w dzień, czy w nocy, jak gdyby nie potrzebował ani snu, ani wypoczynku: — poprostu — słońce dla państwa; ale zato nic się przed tem słońcem ukryć nie mogło: wszystko widzi, wie wszystko; w żadnym zamku, w żadnej dziurze nie schowasz się przed niem; za dobre — honor i chluba, za złe postęпки — różga.

Różga ta pomagała mu bardzo.

Miał on złotą księgę: prawa spisane w niej były na złotych kartach srebrnemi głoskami. Wstaje skoro świt, otwiera księgę z prawami i siedzi przed nią ze wskazówką.



Przychodzą doń chłopci i bojary, doradcy różni i ci, to piszą książki dla nauki ludu, prości szeregowcy, żołnierze w czapkach błyszczących, -- wszyscy przychodzą i pytają: „Królu i ojcie! Powiedz nam, jak i co robić mamy?“ Król wskazówką wodzi po prawie, jakiego mu trzeba i mówi: „Uważaj dobrze, nie opuszczaj niczego i rób tak, jak stoi w prawie“.

Jeżeli kto przychodził w istocie zasięgnąć rady w księdze, ażeby postąpić według prawa, to różga stała przy księdze spokojnie, jak gdyby nigdy nic. Jeżeli zaś kto przychodził z myślą podstępą, t. j. niby dlatego, ażeby napozór zasięgnąć porady, a w gruncie rzeczy, ażeby prawo skoszlawić, spaczyć, to różga zrywała się zaraz i zaczynała go bić, gdzie popadło, bez wyboru, czy to był chłop, bojar, szary żołnierz, czy żołnierz błyszczący; wszyscy byli równi przed prawem, królem i różgą. To też wszystko szło dobrze w tem państwie.

Miał król żonę, królowę, pełną, rumianą, jak mak ponsowy, o sokolich oczach, łabędziej piersi, słowiczym głosie, a łagodna jak zorza, świeża jak poranek majowy, a rozumna — że nie masz drugiej takiej na świecie.

I kochał ją król bardzo i ona go także. A miłość nie przeszkadzała ani im samym, ani nikomu innemu w pracy. Bywało i tak, że król, zmęczony ciąglem trzymaniem wskazówki na księdze, idzie do królowej, ażeby na nią popatrzyć i powiedzieć jej miłe słówko, a ona mówi doń: „Cóż się tak rozlecił, królu? Wszak słońce jeszcze świeci; księgę można czytać do zmierzchu. A może też kto zechce zasięgnąć porady przed nocą? Biada państwu i nam, gdy kto o prawie zapomni i pójdzie spać bez prawa! Bóg wie, co mu w nocy przyjść może do głowy!“

Masz słuszność, — rzecze król i odchodzi ze wskazówką do księgi i siedzi nad nią do późnej nocy, że już

ani wierszyka, ani słówka odczytać nie można, lecz pamięta się jedynie to, co za dnia wpadło pod czaszkę.

Niekiedy też i królowa przyjdzie nie w porę. Król głaszcze ją wtedy po główce i mówi: „Nie, aniołku, teraz nie mam czasu; muszę ludziom wskazywać prawa, bo sam się człowiek rozlenia i cały naród zamieni się w leniuchów; a to źle, gdy król i naród — rozleniwieją“.

— Masz słuszość, — odpowie królowa; postoi, popatrzy sobie i odchodzi.

Tak wybornie zarządzili państwem!

I mieli dużo dzieci — okrągły tuzin synów, jak dwa-naście miesięcy jasnych. I naród też ich miesiącami nazywał. Bywało, kto powie: „Miesiąc idzie“, to już wiadomo, że to syn królewski. Byli oni wszyscy podobni do siebie; tylko ten, co starszy, to był i rumiejszy, a młodszy — bielszy, srebrzystszy; najmłodszy był taki bladziutki, cichy, z twarzą, jakby obłoczkiem pokrytą, cienkim, przejrzystym.

Od maleńkości uczyli się wszystkiego, czytali na książce, kościelnych i cywilnych uczyli się druków, umieli zsumowywać rachunki, bo to królom bardzo a bardzo potrzebne, na gwiazdy patrzyli; co na całej ziemi, co w ich państwie, to wszystko u nich, jak na dłoni, na tablicach, na globusach narysowane było — i lasy i morza i jeziora: — spojrzysz na taką tablicę porysowaną, na kulę, całą w kołach i deseniach i widzi: — tam chłop się rozlenił, tam bojarzyn całe życie leży do góry brzuchem, pisarz nie tworzy ani wiersza, żołnierz, zamiast musztry, struże kukły z drzewa, gryzie ziarenka słonecznika i myśli nie o wojnie lecz o piecu; tam piwowar miesza odur czyli truciznę do piwa, kupiec odciął arszyn ze sztuki, szewc robi buty ze zgniłej skóry, nauczyciel ani sam się nie uczy, ani dzieci nie uczy, przychodzi do szkoły i ani słowa mądrego nie powie. Wszystko to widzą przez naukę. A najwięcej uczyły się dzieci królewskie praw, tak, że niejeden z nich lepiej je umiał od

ojca i z zamkniętymi oczyma prosto palcem trafiał na prawo; a wskazówki król im nie dawał jeszcze do ręki.

Nauka — nauką, księga — księgą, ale oko własne i własny rozum są zawsze najlepsze. I dzieci królewskie nie siedziały za piecem i w durnia nie grały; lecz po nacytaniu się książek, dalejże po państwie i chodzić i jeździć i pływać, po wielkich miastach, po małych, po siolach, po wsiach i folwarkach; im uboższa izba, im biedniejszy kmio-tek, tam zaglądają najprędzej. Znali lud dobrze i lud ich znał i kochał ich za to; co gdzie zobaczą, o tem zaraz opowiedzą ojcu. Gdy sam nie zobaczysz i o wszystkim opowiadać będziesz tylko z posłuchu, to głupstw narobisz i tyle. — Król słucha, słucha ich, doda do praw nowe prawo, westchnie, klaśnie w dłonie i w bólu zawoła: „Rózczo, rózczo!“ A różga dalejże w tany i zrazu grzmoci tych, co strasznie figlują, a nie wykonywują przepisów.

Tak to uczyli się królewicze i ojcu pomagali, w czem im pomagała nauka i otwarta gawęda z rozumnym człowiekiem z ludu i z każdym w ogólności. I aż się dusza śmiała, patrząc, jak wzrastały rozumne dzieci królewskie.

Ale ni stąd ni zowąd przysła do nich bieda. Raz siedzi sobie królowa i myśli; a myśli o tem: „Mam dwunastu synów a żadnej córki; a przecie córka to kwiatek w ogrodzie, śpiewna ptaszyna pod strzechą, dźwięczny strumyczek w ogrodzie; z nią piękność i pieśni i uśmiech i świeżość w rodzinie i człowiek jakby pogodniejszy i raźniejszy się czuje“. I smutno zrobiło się królowej.

Nagle, z pod podłogi wylazła mysz (bo wszak i w pałacach królewskich bywają myszy i przegryzają dziurki w podłodze, ażeby się zakraść tam, gdzie ich nie proszą), wylazła, usiadła na tylnych łapkach i spogląda na królowę.

— Co ty się tak patrzysz na mnie? — rzecze jej królowa.

— Patrzą, bo myśli twoje odgadłam, — odpowie myszka — i mogę cię pocieszyć w twoim smutku.

— Czem pocieszyć mnie możesz droga myszko? — spytała królowa.

— Tem, że spełni się twoje życzenie, królowo. Będziesz miała córkę, takiej urody, że tylko w bajce się taką spotyka. Ale pamiętaj, wspomnij sobie moje mysie słowo: gdy ci się córka urodzi, nie słuchaj nikogo, kto zechce cię martwić czemkolwiek. A czem — to się już wtedy sama domyśl.

— Dziękuję ci, — rzekła królowa: — czemu cię mam wynagrodzić? Bo bez nagrody wypuścić cię nie mogę przecie!

— Co nam potrzeba pod podłogą? U nas ciemno; niema kto patrzeć na nas; ani nam waszych gwiazd srebrnych, ani cacek, ani piór z ogonów ptasich — niczego nam nie potrzeba. Dosyć będzie, jeżeli nam pozwolisz karmić się spokojnie ziarnem, co z nadmiaru worków wciska się w szpary podłogi. A iżbyśmy się mogły karmić spokojnie, wygoń z domu złych kotów: — one nam dokuczają najbardziej.

— Dobrze, — odparła królowa, — karmcie się spokojnie; złych kotów każę wypędzić z królestwa.

— Bóg ci zapłać, królowo, bądź zdrowa; pamiętaj że, co ci mówi myszka: gdy ci się córka urodzi, nie słuchaj nikogo, lecz słuchaj jedynie serca matki, ono ciebie złego nie nauczy. My, z pod podłogi, myszy także coś niecoś wiemy. Bądźże zdrowa i panuj na chlubę naszą, bo wszak państwo bywa tam szczęśliwe, gdzie ani jedna mysz nie ginie od głodu, chłodu i nieprzyjaciół.

Tak mówiła mysz mądrała i na znak pokory, przypadła do ziemi miękkim brzuszkiem, rozstawiła łapki, położyła chwilkę, potem zerwała się i wesoło wsunęła się do norki.

Królowa rozkazała wypędzić z państwa złych kotów; za nimi poszły i kotki. Zebrała się ich straszna chmara — białe, szare, żółte, pstrokate, czarne; za wielkimi biegały i wlekały się kocięta, a te, które ani biec, ani wlec się nie mogą, kotki przenoszą w zębach. Idą taką chmarą, że okiem trudno ich ogarnąć, wszystkie pogwałcone, mordki i ogonki opuściły na dół i miauczą żałośnie, że aż się na płacz zbiera. Ale cóż począć — trzeba!

Zresztą, kot mądry: wszędzie się pożywi. Poszły do lasu, rozbiegły się po gęstwinie i jęły żyć, jak który umiał.

I oto w rok potem, królowej urodziła się córka — piękna, jakiej świat nie widział; włosy jak jedwab, oczki jak krople jasnej rosy, usteczka jak dwa złożone kwiateczki, a na białutkiem, czystutkiem czołku, na samym środku — patrz — gwiazda świeci i to nie jakaś sztuczna, ale prawdziwa; tak się z nią urodziła!

Cieszy się królowa i sam król rad bardzo i bracia kontenci, a pośród ludu taka była radość, że po całym państwie rozbiegły się wieści i gadki jak burza i ptaków krwiożerczych poprzestraszały i las połamały i niedźwiedzi i wilków padło niemało; zato ptaszki śpiewające o małym ze skóry nie wyskoczą; i w dzień i w nocy świerczą i szczebioczą, tak, że królowa kazała im nareszcie umilknąć, żeby sobie z radości głosów nie przerwały.

Patrzą wszyscy na królową — ojciec i matka i bracia, przyszedli patrzeć i ludzie obcy. A gdy wszyscy wyjdą i noc nadejdzie i na czole królowej gwiazdka zabłyśnie jaśniej, królowa znów patrzy na nią sama jedna i ta córka wydaje jej się samej, bez oczu obcych, z samą tylko miłością matczyńską, jeszcze miłsza i ładniejsza.

Tak siedziała pewnego razu królowa aż do północy. Gorąco się jej zrobiło z rozkoszy serca i wyszła do parku oświeżyć się zapachem traw i kwiatów, rosą i wiatrem przelotnym. Chodzi i ciągle myśli o swojej córce. Spojrzała



na niebo: na niebie płoną gwiazd miliony, żółte, z zielonkawym odbłaskiem, jasne, jak srebro; niektóre patrzą jak czyjeś cudne oczy, nieruchomo; inne drgają jak iskry, gdy je wicher w powietrzu roznosi; a trzecie jakby migają promieniami i niby wzywają nas gdzieś i dołądciś.

Jest coś cudnego, słodkiego, sięgającego aż do głębi serca, smutnie i nieśmiało, w tym świecie gwiazd Bożych!

Długo patrzyła królowa, podniósłszy oczy do nieba, długo patrzyła i nareszcie, uśmiechnąwszy się, rzekła do gwiazd nierozsądne zdanie: „Dużo was jest, gwiazdy na niebie, jest was bez liku i takieście piękne, jak gdyby myśli Boże w was błyszczały; ale pomiędzy wami, w całym waszem królestwie niebieskiem, nie masz ani jednej takiej jak na czole mojej córki, królowny, tu w ziemskim królestwie. Taka gwiazda jeszcze się pomiędzy wami nie urodziła“.

Zaledwie wygłosiła to nierozsądne zdanie, gdy jedna z gwiazd nagle wybuchła, zadrżała, ruszyła się z miejsca i znacząc w powietrzu ślad ognisty, opuściła się do królowej, stanęła przed nią i patrzy na nią uparcie, tak patrzy, jak gdyby chciała wejść w jej oczy i w samą duszę i oświecić wszystkie jej myśli. Patrzyła, patrzyła, potem zamigotała i rzekła: „Słuchaj królowo i pamiętaj: na ziemi nie masz niczego, coby się mogło zrównać z' tem, co na niebie; ale wiedz, że i gwiazdy niebieskie gasną: nie gaśnie tylko prawda! Niech prawda zgaśnie, a na niebie stałaby się ciemność i wszystko światło zgasłoby na świecie“.

Co rzekłszy, gwiazda zaczęła błednąć, niknąć, aż zgasła na wieki. Jednocześnie z nieba zaczęły spadać czyste krople, jak gdyby gwiazdy zapłakały.

Strach ogarnął królową i pochwywszy swoją złotą, ciężką suknię, pobiegła do pałacu, ażeby spojrzeć, jak śpi jej córka. Patrzy zdaleka, kołyska stoi, jak stała i córka jest w kołysce, ale brak jej gwiazdki na czole. Królową

dreszcz przeszedł. Ale wkrótce przestrah jej minął: królowna we śnie przyłożyła rączkę do czoła i gwiazdkę rączką zakryła. Ciężar spadł z serca królowej, westchnęła z ulgą, przeżegnała się i rzekła: „Ach Boże i Panie, jakżem się przełękała“. Powolutku odjęła rączkę dziecka od gwiazdki i jęła wpatrywać się w królownę; usteczka miała nieco rozchylone i oddychała tak, jak oddychają kwiatki; oczki zamknięte, a gwiazdka na czołku rozlewa wkoło żywe brylantowe ognie.

Całą noc nie spała królowa, wpatrując się ciągle w królownę, dopiero nad ranem zasnęła, ale obudziła się wkrótce: gwarно zrobiło się przed pałacem — zlechało się mnóstwo ludzi radzić się praw, spisanych w złotej księdze: „Ach ci ludzie, ci ludzie! Uprzykrzyli się już, doprawdy! Nie mogłoby to żyć porządnie, bez przepisów! A tu pokazuj im ciągle, tłumacz i tłumacz. A są i tacy, że tylko co wyłożyło mu się, jak łopata, on zaś wychodzi i zaraz zapomina. Mnie się zdrzemnąć nie dadzą, a cóż dopiero królowi!“

Usłyszał król te słowa królowej i mówi jej: „Słuchaj, królowo! Ty możesz spać, ile ci się spodoba; jeżeli ci ktoś od frontu przeszkadza, to przenies się w głąb pałacu, za sto drzwi bodaj; ale na lud mi się nie gniewaj, gdy po prawo przychodzi; na tom ja król, ażeby tłumaczyć, co stoi w prawie, gdy komu w głowie tak ciemno, jak w izbie nocą, w zimie bez światła. Król nie może długo sypiać, bo gdyby spał, to patrząc nań, całe królestwo rozspaloby się niebawem i ani pól by nie zorano, ani ziarna nie zasiano i byłoby by pozdychało i nietylko nie byłoby aksamitu czy sukna, ale nawet łyka w królestwie. Takie byłyby skutki. Pamiętaj o tem!“

Królowa zamilkła, a sen ją po tych słowach odbiegł zupełnie. Wzięła się do jakiejś robotki kobiecej. Pracuje, a w myśli ciągle się jej roją widzenia nocne — owa gwiazda,

co stała przed nią, mówiła do niej i zgasła potem. „Co to ma znaczyć ta jej mowa? Poco przychodziła do mnie? Skąd usłyszała to, com ja mówiła? Czyż gwiazdy słyszą? I co im do nas? A może na świecie wszystko jedno drugiemu musi służyć za pomoc i za naukę? A może Pan Bóg zsyła nam takie mary, ażeby poskromić pychę naszą, ażebyśmy mniej zarozumiali byli?”

Tak myślała królowa, myślała, ale nie domyśliła się niczego; lecz serce zaczęło jej bić coraz niespokojniej. Poszła tedy do astronoma, co czyta w gwiazdach, ażeby jej wytłumaczył to widzenie nocne. Astronom, wyszukany w głębi lasu,abrał ze sobą różnych kul, tablic, retort, cyrkli i udał się do zamku.

Królowa wyszła doń aż na ganek, a on zbliża się pyta:

— Czego żądasz, dziecko drogie? (Wydała mu się dzieckiem).

— Jam już nie dziecko, — odparła niezadowolona: — sama już mam trzynastoro dzieci.

— No to dobrze, dobrze. A czego chcesz ode mnie. Mów prędzej, bo na noc muszę wracać do lasu i patrzeć na gwiazdy; u was tak duszno.

Królowa poprosiła go, ażeby jej wytłumaczył, co oznacza gwiazda, która schodziła z nieba i jak rozumieć to, co mówiła.

— Niema takich gwiazd, coby z nieba schodziły, — rzekł jej starzec, — a takich, któreby rozmawiały z ludźmi tem bardziej! Bądź zdrowa!

— Ależ, ojczulku, wstrzymaj się, spojrzij w swoje kule i retorty, a może zobaczysz w nich taką gwiazdę.

— Niema takich gwiazd wcale. A po próżnicy patrzeć nie będę.

Odszedł Królowa zaczęła płakać i długo płakała.

Dowiedziały się o jej trosce znachorki. A wiadomo, jak one zręcznie bałamuca ludzi. Dużo z nich bywało u królowej. Dużo pobrało u niej pieniędzy, ale sensu w ich radach za grosza nie było. Jedna chytrzejsza od innych, mówi do niej: „Ja ci wytłumaczę, królowo, co mówiła gwiazda, która zeszła do ciebie z nieba. To, widzisz, ma oznaczać, że twoich synów, dwunastu braci, opanowała zazdrość po narodzeniu się siostry; oni się boją, że wy jej oddacie królestwo, a dla nich nic nie będzie i chcą ją zgubić; więc niby dla tej przyczyny gwiazda zgaśnie. Wypędźcie ich od siebie, bo będzie źle“.

Złękła się królowa okrutnie i opowiedziała wszystko królowi. Król zamyślił się głęboko, a potem rzekł: „Zaopatrzymy synów na długie lata we wszystko, co im potrzeba, damy im ubrania, chleba i broni wszelkiej — i niech sobie idą z Bogiem, gdzie im się spodoba, a potem zobaczymy, co będzie, jak córka wyrośnie“.

Zrobili synom wyprawę, pożegnali ich i królewicze poszli szukać szczęścia. Król z królową bardzo smutni przychodzą, po ich odejściu, do komnaty, w której leżała złota księga; na ich widok różga, jak nie skoczy, jak nie zacznie prać!

— Ach ty taka owaka! Czyś oszalała! — krzyknął król.

Zbiegli się słudzy, schwycili ją za oba końce, zaprowadzili w podziemia, do ciemnego sklepu i zawalili wejście kamieniami.

Król z królową żyją i tęsknią; chcieli zawrócić synów z drogi, ale gdzie ich szukać, nawet niema się kogo zapytać, bo nikt nie widział, jak odchodzili.

A tu interesy zaczęły się okropnie psuć i pogarszać. Wszystko wyschło dokoła, opustoszało, jak po pożodze; drzewa stoją gołe, robactwo je toczy, o kwiatach niema nawet mowy; dawniej biegł wesoły i figlarny strumień przez ogród,

a dziś wody ledwo na pokazanie; niema ani ptasich śpiewów, ani szmeru wiatru, wszędzie cisza martwa; tylko w piwnicy coraz to głośniej hałasuje różga i coraz dosadniej łomocze o glazy więzienne.

Przez ten czas wyrosła córka królewska na cudne dziewczę, łagodne, dobre, rozumne i piękne, że się napatrzeć trudno; i gwiazda z nią wyrosła i zrobiła się taka sama jak ta, co przed świtem, zrana, tak żywo i jasno świeci i ludzi wzywa do roboty.

Tylko królewna niema się ani z czem, ani z kim bawić; wychodzi sama do spichrza — złota leżą góry; idzie do drugiego — brylanty całemi stosami leżą na podłodze; dalej znowu jakieś cenne kamienie; tam tyle ubrania, że całe miasto mogłoby się przyodziać. Ale cóż, kiedy tych wszystkich skarbów niema z kim dzielić, ani komu pokazać. I z każdym dniem królewna staje się smutniejszą i smutniejszą.

Widzi, że matka jej często odwiedza jedną z komnat, długo tam bawi i wraca płakana.

— Czego płaczesz, mateczko? — spytała raz królewna.

— Tak sobie.

— Powiedz — będziemy płakały razem; przyjemniej ci będzie.

Matka zaprowadziła ją do owej komnaty i pokazała — dwanaście łóżek, na nich dwanaście par butów safjanowych, złotem szytych, dwanaście koszul haftowanych, czapek, kaftanów aksamitnych — wszystkiego, wszystkiego po tuzinie; pokazała jej to królowa i runęła na ziemię; a łzy z jej oczu biegną jak dwa potoki i szeptały o strasznym smutku i drażą podłogę kamienną,

Złękła się królewna.

— Co to znaczy, mamó?



— To znaczy, że masz dwunastu braci, dwunastu naszych synów, dwanaście jasnych miesięcy...

— Gdzież się oni podzieli, mateczko?

Królowa rozplakała się; ciężko jej było opowiadać, jednakże opowiedziała.

Po wysłuchaniu opowiadania, królewna klasnęła w dłonie i podskoczyła z radości: „Baliście się, że oni mnie zabiją? Nie bójcie się, nie zabiją mnie za nic! To wam się tylko tak zdawało ze strachu. Zaco mieliby mnie zabić? Nie, ja odszukam braci; niech rządzą państwem, a ja będę sobie żyła wesoło, stroić się będę, bawić się, szyc czasami, haftować, na święto upiekę czasem ciasta lub coś bardzo smacznego. Braciom nie przeszkodzę; czy dużo mi potrzeba? Ja ich odnajdę, mówię, że odnajdę; zobaczycie, że wam będzie weselej, a mnie tem bardziej. Pozwólcie mi pójść ich odszukać.

Królowa naradziła się z królem i córce dali żądane pozwolenie. Otrzymała wielką świtę, karetę, kołymagi, tielegi — na jakie dziesięć wiorst!

Wszystkiego jej nakładli — i chleba i mięsa i odzieży i wszelkich kosztowności.

Królewna patrzy i śmieje się: „Naco mi tyle ciężarów? Pożegnała się z ojcem i z matką; skłoniła się im do ziemi, a i samej ziemi skłoniła się na cztery strony i puściła się w drogę. Uprzykrzyło jej się wkrótce jechać z takim ognem powozów, karet, tieleg, konie rżą, ludzie zbiegają się ze wszystkich stron na gapia; kurz i mgła na drodze, jechać trzeba przeważnie stępa.

Przyjechawszy dosyć daleko, kazała służbie stanąć na jednym miejscu w polu i konie nakarmić, a sama oświadczyła, że pójdzie na grzyby; poszła coraz dalej i dalej, aż uciekła tak, że jej nie można było odnaleźć. Co prawda, nie bardzo jej szukano. Stoją sobie dzień, tydzień, drugi i wciąż czekają na rozkaz, kiedy i gdzie jechać; nakoniec

zrozumieli, że królowna widocznie nie wróci, że przepadła, a może uciekła od ojca i matki — a co im do tego? Oto jeden wraca do króla i królowej, płacze, łka i ażeby zgubić kolegów, którzy rozszarpali wszystko, co stanowiło własność królowny, a jemu nic nie dali, opowiedział, że zabili córę królewską, że on jej bronił, ale oni go prze-mogli i o mało samego nie zamordowali.

Usłyszawszy to wszystko, król i królowa zaczęli tak rozpaczać, że o mało nie pomarli z bólu; przestali jeść i pić i tylko płaczą i płaczą; a kłamcę hojnie wynagrodzili pieniędzmi.

Jednakże córka królewska nie przepadła. Szła ciągle — z państwa do państwa, z królestwa do królestwa; niema braci nigdzie. Nareszcie przychodzi do ziemi głuchej i ciemnej; ludzie są niby, mają głowę i ręce i nogi, ale głosu nie mają; na niebie słońce nie wschodzi i ani jedna gwiazdka nie świeci; włóczą się pociemku, potracają się wzajem głowami, padają w rowy, klną, biją się, robią wszystko inaczej, niż potrzeba. O nauce — gdzież może być mowa pociemku! A bez nauki — ciemność jeszcze większa; w głowie niemasz jasności Bożej; a serce jak śmietnik, każdego brudu znajdziesz tam niemało! Cała rozmowa polega u nich na zwadzie, na błaganiach, na kłótniach!

O, gdzie niema słowa Bożego, tam człowiek człowiekowi nie powie dobrego słowa!

Trwoga zdjęła królownę, ale coś jej szeptało, że tu w tej ciemności są gdzieś — jej bracia. Idzie pewnego razu, gwiazdka oświeśla jej drogę z czoła; znużona zapragnęła spoczynku w olbrzymim lesie; widzi — kamienie stoją rzędem jak rodzone i zda się, tulą się wzajem do siebie; wkoło nich trawka, kwiaty, a nieopodal strumyk żywy, przebiega i świergoli. Siadła królowna, zamysliła się, myślała długo i serce się w niej rozgrzało i żal po bra-

ciach tak ją zaczął dręczyć, że łzy jej trysnęły prosto na kamienie. I oto kamienie drgnęły nagle, głowy im się zaokrągliły, zaświeciły oczy, twarze przybrały zupełnie ludzki wyraz, ręce i nogi jęły się poruszać, — spojrzeli po sobie i jęli się całować jeden drugiego, jak po długiej, bolesnej rozłące; potem wszyscy przypadli do siostry królowny i również jęli całować i ścisnąć. Wtedy poznała królowna, że to byli jej bracia, a oni poznali ją po gwiazdce na czole i po łzach gorących, któremi przywróciła im życie.

A skamienieli oni ze strachu, że zaszli do ziemi martwej; i gorzko im było stać tak — bez wyrazu ludzkiego, bez języka, bez oczu, bez ruchu, z troską w duszy, z myślą bez wyjścia. Ale teraz wszystko minęło. Wszyscy zadowoleni i dalejże, co żywo, do swojej ziemi. Królowna z gwiazdą naczela, a oni szeregiem za nią. Trzydzieści dni i nocy biegli bez jadła, bez napoju, bez spania, bez wypoczynku, nie zatrzymując się ani na chwilę; наконец zdala coś zajaśniało, jak niebo o świcie. Jęli biec, co sił starczyło i nagle wybiegli z ciemnego królestwa i znaleźli się na prześlicznej łące; kwiaty, drzewa, zieloność i słońce i owoce i woda i ryby w wodzie — wszystko tam było, co sercu miłe. Rzucili się na trawę i całowali ziemię ciepłą; potem dobrze sobie podjedli i udali się prosto do domu.

Nagle jedzie na ich spotkanie jakiś królewicz. Dojechawszy do nich, skłonił im się uczciwie i rzekł: „Widzę, żeście państwo, jak i ja, dzieci królewskie i żeście znużeni daleką drogą; pozwólcie służyć sobie końmi; mam ich dużo, a drogę do waszego ojca sam wam pokażę“. Co mówiąc, oczu z królowny nie spuszczał.

— Dziękujemy bardzo, — rzekli bracia, królowna w milczeniu skinęła główką, a śliczny rumieniec okraślił jej lica. Królewicz dał znak gwizdawką złotą; hajducy zbiegli się natychmiast i sprowadzili całe stado koni. Jeden młody konik podbiegł do samej królowny, stanął przed

nią i okrąglę kopytkiem drapie w ziemię, jak gdyby mówił: „Siadaj na mnie prędzej!” Ona chwyciła go rączką białą za grzywę wskoczyła mu na grzbiet, nóżki spuściła na bok, ściągnęła uzdę, wydała cienki okrzyk i pocwałowała galopem; bracia za nią; a królewicz, aż się poci, byleby tylko jechać przy niej; a ona uśmiecha się, rączką uderza łagodnie konika, ten zaś coraz to skoczy i królewicza kurzem osypie.

I oto docwałowali do domu rodziców. Ach, jakże wszystko zagłuchło, zapleśniało, sposepniało! Ojciec i matka słyszą oddawna niesłyszany tętent i śmiech i wesole okrzyki. Zerwali się, wybiegli na ganek, za bramę, za parkan — widzą — pędzą rycerze. Poznali dzieci, wyciągnęli do nich ręce i płaczą i modlą się i proszą o przebaczenie...

I radość zapanowała ogólna. Cieszy się i królewicz. Zapytał się królowny, czy wyjdzie za niego zamaż? — „Wyjdę!” — odrzekła. Poprosili o błogosławieństwo rodziców i pobrali się.

Rozjaśniło się teraz na duszy starego króla. Przypomniał sobie znowu o prawach, poszedł, odszukał złote tablice połą wytarł je z kurzu, zaczął czytać — rozumie; wziął do rąk wskazówkę i zaczął zwoływać ludzi do słuchania praw; ale cały naród bez praw zamienił się już w bydło i gady; ryczą, mruczą, syczą, kraczą, boją się praw — odwykli; jednakże, stopniowo, zaczęli się zbierać i potrochu zmieniać się na ludzi, uczyć się, pracować, pomagać jeden drugiemu, odwiedzać się wzajem, bywać na kazaniu w kościele, słowem — żyć po ludzku.

Poprawiło się w państwie. Różga w podziemiu stukać przestała. Król sam udał się po nią, z wielkimi honorami wyniósł ją stamtąd i umieścił na widoku.

Król potem pożenił wszystkich synów, najstarszemu rządu zostawił, jeździł do córki z matką w odwiedziny

i ludowi przywoził podarki; co tylko mądrego tam spostrzeże, to zaraz urządza w swoim państwie.

I długo trwało jego królestwo — tak z pięćset milionów lat i wszystkim ludziom żyło się tam wysmienicie!







## 10. BAJKI.

### TRZY PIEŚNI.

Piękny jest step ukraiński; byłem w tym stepie; obszar niezmierny, trawa po pas i kwiaty. Słońce południa zalewało go żarem. Pasły się na nim nieprzejrzane stada koni, wołów i owiec; z białych chat, z pośród grusz, wiesien, jabłoni, orzeszyn i czereśni, wzbijał się dymek.

Naród tam śpiewny, ale pieśni jego są pełne smutku i zadumy.

Trzy pieśni osobliwie zapadły mi w duszę: jedna pieśń — jak szepot suchej trawy; druga — jak krzyk rzewnej kukułki; trzecia — jak jęk fali morskiej przy brzegu skalistym.

Historja tych pieśni jest taka:

Stał na stepie maleńki, szczęśliwy chutorek; żyła w nim matka-kozaczka z trzema synami. Jeden był żonaty, drugi miał narzeczoną, a trzeci, najmłodszy, najbardziej cenił złotą wolność.

Wszyscy byli zuchy, silni, czarnobrewi, kozacze dusze; i zapragnęli wszyscy rozwinąć swoją moc kozaczą, powalczyć za wiarę swoją, zestrąszyć wrogów, iżby nie przychodzili deptać im stepu ojczystego swojemi końmi, palić im chat, trzebić im sady, rościć krwią ich pól, porywać im w niewolę żon, sióstr i matek i urągać ich osiwiiałym starcom.

Jeden brat poszedł na wschód, drugi na zachód, a trzeci siadł w łódkę, bystrą *czajkę* i morzem popłynął na południe.

Gdy odjeżdżali, matka zatrzymywała im konie, chwytając za uzdy, wlokła się po ziemi, chwytając za ich srebrne strzemiona; żona zwieszała się na szyi swojego męża i głośno płakała; narieczona w milczeniu, z tęsknotą, patrzyła zdala na odjeżdżającego ulubieńca. Błagały ich wszystkie, ażeby nie szli na wojnę, bo na wojnie ludzie nie biją się na życie, lecz na śmierć; wojna nie pszenica, jej kłosa są z kul ołowianych; nie kwieciami lecz głowami zuchów zaściela ziemię; wojna rodzi nie pieśni weselne, nie chorowodne lecz pogrzebowe; wojna to okrutnica, za biedą ludzką patrzy jedynie.

— Cóż z tego? — mówili bracia-kozacy; — niech nas pozabijają kule wraże, dzidy i szable, niech legniem na obcej ziemi — *sława kozacza nie umrze, nie zginie!* Ale nie, nas nie pokonają: my pokonamy i nawieziemy złota, płócien i jedwabów, albo czegoś jeszcze droższego.

— Naco nam złoto, naco nam jedwabie? — mówiły matka, żona i kochanka: — wyście dla nas drożsi, drożsi od światła Bożego, drożsi nad życie; wyście nam mili, jak ojczyzna, jak wiara, jak wolność!

Słuchali bracia kozacy, słuchali, milcząc, posepnie; najmłodszy miał nawet łzę w oku, ale otarł ją rękawem co żywo. Słuchali kozacy, ale nie posłuchali; czule pożegnali krewnych, mignęli na siebie i rozjechali się w różne strony.

Z początku słyszeć było, jak brzęczały uzdy; potem, jak tętniały kopyta; potem nic słyszeć nie było i tylko czerniały ponad wysoką trawą stepową czapki na bakier, ale wnet i czapek nie było widać, a jeźdźcy jakby utonęli w trawie, ona zaś, jak zielone morze kołysała się, igrając na wietrze.

Poszły do domu — matka, żona i kochanka i długo myślą, długo tęsknią, żona po mężu, narzeczona po narzeczonym, matka po wszystkich, a najbardziej po najmłodszym; niechby choć on był został na pociechę jej starości. Ale stało się, a co się stało to przepadło.

Nie poszczęściło się naszym braciom kozakom; nie przywozili oni ani dzwiecznych dukatów, ani drogich sukien i ubiorów, ani głów swoich nie przywieźli na Ukrainę.

Bił się jeden brat i pobił wielu bisurmanów, ale się bardzo zmęczył, znużył, odjechał na szczere pole, położył się na trawie, konia puścił wolno, a sam usnął. Chodzi koń, skubie trawę, a sam coraz to spojrzy na kozaka. Śpi kozak dzień, śpi drugi; ta, niechże śpi sobie! Koń chodzi i patrzy. Z wyciem, jak szarańcza pędzą po stepie Tatarzy. Koń biegnie do kozaka i rzy i kopytem bije o ziemię i za świtkę zębami chwyta. „Wstawaj, kozacze! Niedola nas ściga, najechała wraża *tatarwa*“. A kozak śpi. Zasnął mocno; snąć siły w boju zatracił; nie słyszy ani rżenia ani tętentu kopyt.

Nadjechali Tatarzy, odrąbali dzielną głowę, pokrajali w kawałki ciało młodzieckie i rozrzucili po stepie; schwyтали konia, okiełznali i siadł na niego pohany Tatarzyn i jął go tłuc nahajem po żebrach. Koń chrapnął, wierzgnął,

ale co począć? Uległ. A biedny kozak, jego pan, tak i przepadł bez krzyża, bez mogiły, bez modlitwy nadgrobniej.

Drugi brat bił się z Lachami — jeden przeciwko setce. Już ich ośmdziesięciu legło na miejscu, już tylko dwudziestu zostało. Zostały, oczywiście, same zuchy; słabsi, płochliwsi dawno już zwaleni. Wstyd im walczyć z jednym. Oto Lach — zuch, młodzieniec tęgi i dzielny, wyjeżdża na czoło innych i rzecze: „Słuchaj kozacko, bij się ze mną, jeden na jednego; kto zwycięży, temu sława; kto będzie zabity — i temu także; twoja głowa dobra, a i moja warta coś nie coś“.

— Spróbujmy, — odpowie kozak, — od ciebie zacznie się dziewiąty dziesiątek; oto już ośmdziesiąt waszych leży na polu.

I jeli walczyć. Ale przechwalił się kozak, rozgorączkował się okrutnie, ale gorączka to nie siła; a siły już zatracił. Zabił go Lach tedy i choć to rzadko w owe czasy bywało, nie urągał nad nim, lecz uczciwie kazał go w ziemi zakopać i krzyż na grobie postawić. Konia mu wziął, lecz nie bezczęścił go nahajem.

Trzeci brat bił się z Turkami, podjeżdżał do samego Carogrodu i dostał się do niewoli. Turcy jeli go męczyć: zaprzyj się wiary — mówią, a zrobimy cię jakimś tam księciem i będziesz nam wodzem, gdy pójdziemy na wojnę.

— Ależ wy pójdziecie walczyć z nami, na naszej ziemi.

— Naturalnie z wami i na waszej ziemi.

— I naszą krew chrześcijańską pić będziecie!

— Cóż z tego, toć to nam nie pierwszozna.

— I nasze cerkwie święte pohanić będziecie?

— Porobimy z nich *meczety*.

— Nie, bracia moi ; źleście trafili ; pokrajcie mnie na kawały, a nie będę wam sługą, ani jakimś tam waszym *effendim*.

Oni go znowu męczą ; cierpi i tyle, jak gdyby nigdy nic ; męczyli, męczyli, nic nie wskórali.

— Oddaj nam krzyż swój, — mówią.

— Nie oddam krzyża, — odpowie kozak, — a weźmiecie gwałtem, to i cóż ? Weźcie. Na siłę niema środka ; bij się, dopóki moc jest, a nie masz mocy — to cierp. Ja też będę cierpiał.

— A czy bez krzyża zapomnisz swojej wiary ?

— Nie, nie zapomnę. Krzyż na piersi, a wiara w sercu przecie, nikt jej stamtąd nie wydrze, gdy człowiek sam nie da.

A jednak krzyż zdjęli z niego. I długo był w niewoli, lat ze czterdzieści i już mowy swojej rodzinnej zaczynał zapominać ; nie miał z kim rozmawiać ; zaczynał mówić sam ze sobą, ale jakoś to było niezręcznie, ciągle jedno w kółko ; i zrobiło mu się bardzo smutno. Zaczął milczeć i z każdym dniem, z każdą nocą, wyrazy ruskie wypadały mu z pamięci, a natomiast tureckie pchały mu się do ucha.

Używali go Turcy do różnych robót — to do objeżdżania koni, to do kucia, to do ostrzenia dzid i hartowania szabel ; nareszcie umieścili go w pasiece przy pszczołach i do sadzenia drzew, czy do obcinania winogron, sam nie wiem.

Ze trzy lata spędził tak w ogrodzie i często tęsknota go brała. Pracuje i śpiewa pieśni, pieśni stepowe, cudne pieśni małoruskie, gorącym źródłem z serca bijące pieśni. I tak się niekiedy rozśpiewa, że po całym sadzie i za sadem, na ulicy słyhać. A sad był wielki, sułtański.

Sułtan ma, jak wiadomo, mnóstwo żon, które skupują dlań w różnych stronach świata. Niektóre bardzo



tęsknią w niewoli; bo trzymane są pod kluczem a wstrętne wartownicy pilnują ich: — „pilnuj“, mówią takiemu arapowi, bo gardłem odpowiesz! To też pilnują i z oka nie spuszcza jak w dzień, tak i w nocy. Ale na niewolę jest podstęp, a na zamydlenie oczu zawsze środek się znajdzie. — Za pieniądze człowiek oślepie aż miło: prawo przestaje być mu prawem, a strach strachem; za pieniądze pod nóż i pod stryczek pójdzie, myśląc sobie: nóż ześliznie się po gardle, nie zarznie, sznur się przerwie; a wartownicy bardzo chciwi na pieniądź; a przytem sami są w niewoli; więc niekiedy mają litość dla niewolników.

Otóż, jedna niewolnica tęskniła okrutnie pod kluczem, ani je, ani pije, ani drogich naszyjników, ani pierścieni nie wdziewa. Słyszy ona raz rzewną pieśń kozacką. Zatrzepotało się w niej, jak pochwycony gołąb, serce znękané; nie rozumie wprowadzie, co się tam mówi w słowach ruskich, ale w głosie odczuwa wielki smutek i zdaje się jej, że ten głos wychodzi z jej własnego serca. Chciałaby wyjść do sadu, przyjrzeć się bliżej, kto śpiewa tak smutnie, przysłuchać się samej, jak najdalej od nienawistnych oczu. I woła wartownika do siebie.

— Arap!

— A czego to?

— Chcesz garść złota?

— Dawaj choć dwie, przydadzą mi się.

— Nie, naprzód dosyć jednej, później — dostaniesz więcej.

— A za co dasz mi dwie garści?

— Za bagatelę — za wolne powietrze i głos.

— Dobrze, dawaj pieniądze, — otworzę ci okno i krzyknę co siły. Odetchnij sobie, ile chcesz i słuchaj.

Nie, pocóż się masz trudzić z otwieraniem okna i z podnoszeniem zasłony? A i drzeć się na całe gardło

— także nie wypada. Lepiej pójde do sadu i posłucham pieśni tamtego oto niewolnika. Uważasz ?

— A jeśli uciekniesz ?

— Co ? Czy nie mam zdrowych zmysłów ? Uciekać od szczęścia takiego ? Wszak dziś-jutro — i będę sułtanką. Wtedy zobaczysz, czem ty będziesz !

— Czem ?

— Czem zechcesz !

— Ja bym chciał dostać się do kuchni ! Tam bym się najadł do syta.

— Dobrze, dobrze ; obsadzę cię w kuchni i każę ci napieć ogromnych pierogów, a tymczasem masz złoto.

Wyszło dziewczę do sadu, zbliża się do kozaka i mówi po turecku : „Pięknie śpiewasz, musisz mieć smutek na sercu ; i ja mam smutek ; wspólny to smutek dla nas — niewoli obczyzna !“

— Tak, — odparł kozak, — niewola, jam już w niej osiwił i tak zemrę.

— Nie zemrzesz, jeżeli mnie posłuchasz.

— Co, może ożenić się z tobą ?

— Nie, jaka tam żeniaczka w niewoli ? Zresztą, nie wydadzą mnie za ciebie, prędzej żywcem w ziemi zakopią.

— Więc cóż ?

— Ucieknijmy stąd razem.

— A złoto masz ?

— Mam.

— Uciekajmy.

— A jeżeli nas złapią ?

— Ha, to pomęczą, potem mnie głowę odrąbią, a ciebie w worek i do wody.

Dziewczyna drgnęła, pomyślała trochę i rzekła : „Uciekajmy, mniejsza z tem, miłsza śmierć, niż niewola“.

Podkupili wartowników, wyszli nocą na morze i mieli wsiąść do czółna. Nagle, Turcy zwęszyli ucieczkę i biegną

do brzegu; kindżały w zębach, w jednym ręku szablę, w drugim pistolet.

Kozak machnął wiosłami; czołno sunęło się, jak ptak morski; to wzbije się na fale, to z falą opada i tonie. Nie śmiano iść w pogoń za niem; ale jeden zmierzył, wypalił i trafił w dziewczynę. Ona westchnęła tylko i jak snop zwała się w morze. Kozak chciał ją pochwycić, ale bałwan go podrzucił raz, drugi i ślad dziewczyny przepadł. Kozak przeżegnał się, szepnął: „Niech ci ta fala lekką będzie!” i jął rąbać morze wiosłami z całej siły.

Jedzie dzień, jedzie noc, jeszcze i jeszcze dobie. Fale okrutnie hulają. Ale oto poczuł zapach ziemi; od brzegu wiatr idzie. Radośnie zabiło w nim serce; ale wsłuchał się w wiatr i zamyślił się — jechać czy nie jechać. Od brzegu dobiega tętent podków i brzęk broni. — „Niech tam! — pomyślał kozak: — choćby skonać wypadło, toć lepiej na ziemi ojczystej”. Podjeżdża do brzegu i widzi — dwunastu czeka nań Turków. Ale w strzelaniu był to majster taki, jakich niewielu na świecie. I akurat miał kul dwanaście. Strzeli — i Turek bęc, spada z brzegu do wody. Bije ich, bije, pobił połowę, już ćwierć została, już tylko dwóch Turków, bęc — został jeden. Kozak jął nabijać strzelbę po raz ostatni, ach Boże mój, Boże! Fala podrzuciła czołno; kula nie wpadła w lufę, uderzyła o brzeg czołna, podskoczyła i zabulkotała w wodzie.

Kozacze, gołąbku! Odjeżdżaj co żywo od brzegu! Żał cię okrutnie! Zabije cię Turek! Żywo! Śpiesz się! Patrz, już mierzy.

Zmierzył Turek. Ogień buchnął, — rozległ się wystrzał. Dym zasłonił łódkę; a gdy wiatr go rozwiął — kozaka już w łódce nie było. Łódź, nierówno, jak chora zachwiała się i popłynęła na otwarte morze. W jednym miejscu fale zniosły ją na brzeg piaszczysty, bryznąła nań krew kozacka, a ziemia rodzinna chciwie ją wypila.

Na miejsce, gdzie w stepie runął brat pierwszy, przychodziła narzeczona, stała tam długo, że wyschła jak trawa i zamieniła się w łodygę trawy spalonej od słońca.

Na miejsce, gdzie zabito drugiego brata, przychodziła do krzyża żona i tak długo płakała, że podlewany łzami krzyż puścił korzenie i gałęzie, a ona zamieniła się w kukłę.

Na miejsce, gdzie ziemia wypila krew trzeciego brata, przychodziła matka; — cała zamieniła się w łez potok i potok ten spłynął do morza.

I dlatego jedna pieśń małoruska szepcze smutnie jak sucha trawa; druga rzewnie zawodzi jak kukłka; trzecia jęczy jak fala morska.

### DOBRE DZIECI.

Pan Bóg pogniewał się na ludzi i zesłał wielką posuchę. Zasiewy nie zeszły i ludzie umierali z głodu; ginęło i bydło.

W pewnem państwie, rządził młody król. Młode mimowoli Ignie do młodego i król ten otoczył się młodzieżą; w radzie, w wojsku — służyli sami młodzi; a ponieważ młodzi nie są na umyśle dojrzały, to i rady ich nie były dojrzałe.

Gdy nastał rok okrutny, niedojrzali doradcy poradzili królowi potopić wszystkich starców, ażeby nie objadali młodych.

I rozesłano po całym państwie rozkaz, ażeby nikt, pod karą śmierci, nie śmiał ukrywać starców.

Gońcy jeździli po całym państwie i czytali rozkaz, a napotkawszy starca, topili go bez litości.

W jednym mieście żyło trzech braci; mieli bardzo starego ojca i nie wydali go. Ukryli go pod podłogą i dzie-

lili się z nim wszystkim, co mieli. Minęła zima, nastąpiła wiosna, a z nią czas do siewu. Ale siał nie było czem. Ziarno zjedli ludzie, a po części i myszy. Synowie przyszli do ojca na poradę, co czynić.

— Zdejmcie słomę z dachów, dzieci, wymłóćcie ją, a co zbierzecie, to zasiejcie, — poradził stary.

Synowie tak zrobili i Bóg im pobłogosławił. W tydzień niwa zazieleniała, a w dwa miesiące zboże wyrosło jak las: i żyto i pszenica i jęczmień. Ludzie nie mogli wyjść z podziwu. Wieść o tem poszła po całej ziemi, aż dobiegła do króla. Król kazał trzem braciom stawić się przed sobą.

— Źle będzie z nami, — mówili bracia do siebie i udali się na poradę do ojca.

— Niech co chce będzie, dziatki, a powiedzcie królowi całą prawdę. Idźcie z Bogiem.

Król przyjął ich surowo i gniewnie zapytał, jak śmieli ukryć ziarno, gdy taka masa ludzi umierała z głodu.

Synowie opowiedzieli wszystko od początku do końca.

— A teraz, rób królu z nami, co chcesz. Jesteśmy w twojej mocy.

Rozjaśniło się czoło monarsze. Kazał synom sprowadzić ojca, posadził go przy swoim tronie i do samej śmierci starca radził się go we wszystkim. Synów hojnie wynagrodził.

## **NA KOGO PAN BÓG SIĘ POGNIEWA, TEMU I LUDZIE NIE POMOGĄ.**

Żył sobie zamożny gospodarz. Dom, inwentarz i pola, — wszystko miał dostatnie. Razu pewnego przyszli doń goście. Jął się przed nimi chwalać ze swoich bogactw. Niech mu się wszystko spali — nic to; wystawi



budynki jeszcze ładniejsze. Zaledwie zdążył to powiedzieć, gdy jeden z gości wyszedł na dziedziniec i zawołał stamtąd: „Gore! Pali się u was!” Serce drgnęło gospodarzowi, udał jednak, że mu wszystko jedno. Osada spłonęła, goście rozeszli się. Gospodarz wlaź na wierzbę, w której ukrył był swoje pieniądze. Patrzy! Aż tu rzeka wylała, podmyła wierzbę i uniosła wraz ze skarbem. Bogacz stał się biedakiem. Zgodził się na pocztyljona. Pewnego razu zaskoczyła go burza w drodze, poprosił więc pewnego zamożnego i dobrego człowieka o nocleg. Przy wieczerzy, pocztyljon opowiadał, że także był kiedyś zamożnym, ale osada mu spłonęła, a pieniądze, które miał schowane w wierzbie, woda mu zabrała. Teraz musi pracować na ludzi, ażeby wyżyć jako tako. Gospodarz z żoną spojrzeli po sobie. Ta wierzba podpłynęła do ich stodoły, a gdy ją zaczęli rąbać na drzewo, wypadły z niej pieniądze. Wywoławszy żonę do sieni, gospodarz jął się z nią naradzać, jakby zwrócić pocztyljonowi pieniądze. Nie chciał korzystać z cudzego dobra.

— Wiesz co, — rzecze mu żona: — ja upiekę placek, włożę pieniądze do środka i damy mu go na drogę. — Tak i zrobili. Zrana, na odchodnym, gospodyni wręczyła pocztyljonowi placek. — „Przyda wam się na drogę“. Pocztyljon podziękował i odszedł. Na drodze spotkał znajomych kupców.

— Nie sprzedasz nam czego? — pytali. — „Chyba ten placek!“ odparł biedak z gorzkim uśmiechem — jeść mi się teraz nie chce, a pieniądze przydać się mogą.

Kupcy zabrali placek i pożegnali się. Niebawem przybyli do tego samego gospodarza, u którego nocował pocztyljon. Pomówili o interesach, a potem gospodarz jął częstować gości. Kupcy odmówili przyjęcia, twierdząc, że co tylko kupili u przechodnia placek. Gdy wyjęli placek z kufra i położyli go na stole, gospodarstwo zamieniło

ze sobą spojrzenia. Gospodarz zaprowadził kupców niby dla pokazania im cieląt na sprzedaż, a gospodyni zmieniła placek na inny. Kupcy wrócili, podjedli i odjechali.

Po niejakiś czasie, pocztyljon znowu przyszedł na nocleg. Gospodarstwo ucieszyło się bardzo, że może mu zwrócić pieniądze; zawiązali je w węzełek i włożyli pocztyljonowi do torby. Zrana, pocztyljon pożegnał się i odszedł. Przechodząc przez ogród, skusił się na jabłko. Powiesiwszy torbę na sęku, wlaź na jabłoń i zaczął napełniać sobie kieszenie jabłkami. W tej chwili pokazał się właściciel jabłoni.

Pocztyljon zawstydzil się, zeskoczył z drzewa i zaczął uciekać, zapomniawszy torbę.

— „Przestraszył się biedak,“ — pomyślał gospodarz, zdejmując torbę. — „Wypadnie mu przechodzić przez most. Pobiegnę lasem, będę prędzej od niego i położę torbę na moście. On nie może jej minąć“. Tak też i zrobił.

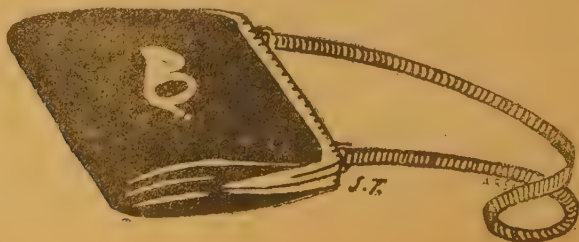
Pobiegł lasem i położył torbę.

Idzie biedak przez most i myśli. — „Dobrze jeszcze, że mogę służyć za pocztyljona i na chleb zarabiać. A niechbym oślepl! Jakżebym przeszedł przez most. Ano spróbuję, czy też potrafię przejść przez most z zamkniętymi oczyma“.

Przeszedł most i nie spostrzegł torby.

Gospodarz wziął torbę i westchnąwszy, powrócił do domu.

— Na kogo Pan Bóg się pogniewał, temu i ludzie nie pomogą, — rzekł do żony.



## 11. BAJKI SERBSKIE.

### UCZCIWY ZAROBEK NIE GINIE.

Jeden biedak poszedł w służbę do bogatego kupca bez zgody. Po przesłużeniu roku, prosi kupca o pieniądze. Kupiec dał mu grosza i rzecze: — Oto twoja płaca.

Biedak wziął pieniądz i odszedł z pochyloną głową. Przyszedł nad bystry potok, staje i myśli: — Boże miłosierny! Czyliż za cały rok pracy zarobiłem tylko grosz jeden? Sam jeden wiesz, Panie Boże, jakim pracowałem, ale może tego nie dosyć. Niechże ten grosz da mi odpowiedź. Rzucę go do potoku. Jeżeli spłynie na wierzch, znaczy, że go zarobiłem, a jeżeli utonie — znaczy, że go nie zarobiłem.

Przeżegnawszy się, biedak cisnął grosz do potoku i grosz poszedł odrazu na dno. Wydostał go biedak, wraca do swego pana i rzecze:

— Panie, nie zarobiłem ja twego grosza, weź go na powrót; jeszcze rok posłużę u ciebie.

Po roku, biedak znów przystępuje do kupca i prosi o swoje zasługi. Kupiec znowu wyjął grosz i wręczając go parobkowi, rzecze:

— Oto twoje zasługi.

Biedak, wzięwszy pieniądz, poszedł do potoku, przeżegnał się i wrzucił pieniądz w wodę.

— Boże miłosierny! Ty jeden znasz całą prawdę. Jeżeli zasłużyłem na ten pieniądz, to niech spłynie na wierzch; jeżeli zaś nie, to niech idzie na dno.

Pieniądz, zaledwie dotknął się wody, w tej chwili poszedł na dno.

Biedak wydobył go z wody, wraca do pana swego i rzecze:

— Panie, nie zasłużyłem na twój grosz; weź go sobie napowrót, jeszcze rok będę pracował u ciebie.

Minął rok i robotnik znowu zaczął prosić pana, ażeby mu zapłacił tyle, na ile zasłużył. Gospodarz dał mu znowu grosz. Biedak pobiegł do potoku i z taką samą modlitwą wrzucił go w wodę. O cudo! Pieniądz nie poszedł na dno, lecz spłynął na powierzchnię wody.

Wziął go z wielką radością i włożył do kieszeni. Potem poszedł do lasu, zbudował sobie chatę i zaczął w niej żyć.

Minęło ileś tam czasu; usłyszał on, że jego dawniejszy pan ładuje okręt towarem i wybiera się do obcych krajów. Poszedł do niego i oddając mu tajemniczy grosik, prosi, ażeby mu za niego co kupił. Kupiec przyrzekł i odpłynął w podróż.

Raz wypoczywając na brzegu, kupiec spostrzegł, że dzieci niosą kota z wyraźnym zamiarem zabicia go i wrzucenia w morze.

— Co wy robicie, dzieci? — zawołał kupiec.

— Kot zjadł nam słoninę, trzeba go utopić, — odpowiedziały dzieci.

Kupiec przypomniał sobie o groszu swego parobka i ofiarował go dzieciom za kota. Dzieci z radością wzięły grosik i oddały kota kupcowi.

Kupiec popłynął dalej. Pewnego razu wszczęła się na morzu okropna burza. Czółno skakało po falach, jak drzazga. Gdy burza minęła, płynący spostrzegli, że zabłądzili i przez całe trzy miesiące nie mogli odnaleźć dobrej drogi. Nareszcie ujrzeli zdala brzeg, na brzegu fortecę i zaczęli się tam kierować. Wszyscy mieszkańcy zbiegli się na brzeg dla zobaczenia przyjezdnych. Pewien wybitny i bogaty obywatel zaprosił właściciela okrętu do siebie na wie-

czyż. Toż to się zadziwił kupiec, siedząc przy wspaniale zastawionym stole gościnnego gospodarza. Szczurów i myszy biegła wszędzie chmara nieprzebrana; dookoła stołu słudzy otworzyli łańcuch, bacząc z kijami w rękach, ażeby zwierzątka nie wskakiwały na stół.

Zauważywszy zdziwienie gościa, gospodarz rzekł:

— Tak to u nas zawsze. Ta nasza plaga życie nam obrzydza. W czasie obiadu czy wieczerzy, zwierzątka skaczą po stole i z rąk nam wydzierają strawę. A do spania każdy z nas ma skrzynię, w której się zamykamy.

Na to kupiec przypomniał sobie o kocie, kupionym za pieniądze parobka.

— Mam na okręcie zwierzę, które w dwa do trzech dni da radę temu plugastwu.

— Ach, panie, bracie najdroższy, odstęp mi go pan, a jeżeli stanie się tak, jak mówisz, to cały okręt wypełnię ci srebrem i złotem.

Po wieczerzy, kupiec udał się na okręt i przyniósł kota. Oznajmił, ażeby nikt tej nocy nie kładł się w skrzyniach, lecz żeby wszyscy spali spokojnie w łóżkach. Ale przełknięci obywatele nie usłuchali i wszyscy ułożyli się w skrzyniach, z wyjątkiem gościnnego gospodarza. Gdy ten ostatni udał się na spoczynek, kupiec wypuścił kota. Kot rzucił się na plugastwo i jął dusić myszy i szczury. Wkrótce cały pokój zasiany był trupami. Ocalałe zbiegły bez opamiętania. W trzy dni forteca była wolna od myszy i szczurów.

Magnat, goszczący kupca, dotrzymał słowa i napelnił mu okręt srebrem i złotem.

— Gdy kupiec wrócił do domu, parobek zapytał go, co też mu przywiózł za jego grosik. Kupiec dał mu duży kamień, mówiąc, że za grosz nie mógł kupić nic innego. Parobek wziął kamień, przyniósł go do swojej chaty, ustawił zamiast stołu i udał się do lasu rąbać drzewo. Za po-



wrotem, zdumiał się. Kamień zamienił się w złoto i wielkim blaskiem wypełnił całą izbę. Uczciwy parobek pobiegł do kupca i rzecze:

— Coś ty mi dał, panie? To nie może należeć do mnie. Pójdź i zobacz!

Kupiec poszedł i ujrzawszy cud zawołał z pokorą:

— Bóg za ciebie i wszyscy święci z tobą. Przyjdź i weź, co ci się należy.

I oddał mu wszystko złoto i srebro, uzyskane za kota.

## CO JEST NAJPOŻYTECZNIEJSZE NA ŚWIECIE?

Wezwał król sześćdziesięciu ludzi i pyta:

— Co jest najpożyteczniejsze na świecie?

Nikt nie mógł dać odpowiedzi i król kazał wszystkim sześćdziesięciu odrąbać głowy.

Potem zawezwał innych 60-ciu i tych spotkał ten sam los.

Gdy przyszła kolej na trzecią zmianę, poddanych opanowała trwoga. Zaczęto myśleć, że król chce kraj swój wyludnić.

W trzeciej partji znajdował się starzec, mający jedyną, ale bardzo mądrą córkę. Otrzymawszy rozkaz zjawienia się u króla, starzec zmartwił się srodze. Pewny był, że idzie na śmierć niezawodną i żał mu się zrobiło swojej jedy-naczki.

Spostrzegiszy wielką troskę ojca, dziewczyna spytała go:

— Musisz mieć ciężki smutek, ojciec, skoro w twoim wieku tak gorzkie łzy wylewasz? Powiedz mi, jaka jest treść tego pisma, które otrzymałeś co tylko ze stolicy?

Lepiej byś się nie pytała, drogie dziecko; wszak pomóc mi nie możesz — odparł stary. — Król po raz trzeci wzywa 60-ciu ludzi i niezawodnie pytać się będzie, co jest

najpożyteczniejsze na świecie; a ponieważ nikt nie odpowie więc wszystkim każe odciąć głowy. Nie o to płaczę, że spadnie moja siwa głowa, ale o ciebie moja dziecino, że zostaniesz bez opieki, sama jedna na świecie.

Otrzyj łzy i nie martw się, drogi ojcze. Nic złego nie stanie się ani mnie, ani tobie. Gdy znajdziesz się przed bystrym wzrokiem króla, a on zada pytanie: Co jest najpożyteczniejsze na świecie? — ty wyjdź naprzód i powiedz: najpożyteczniejszy jest deszcz w dzień św. Jerzego i rosa w dzień Trójcy Świętej.

Rada córki niebardzo uspokoiła starca. Chodził przez cały dzień zamyślony i pewny był, że głowy nie ocali.

Nazajutrz, w liczbie sześćdziesięciu, wezwani znaleźli się w pałacu królewskim. Król wyszedł do nich i dał im swoją zagadkę: Co jest najpożyteczniejsze na świecie?

Nikt nie mógł odpowiedzieć. Wtedy starzec wystąpił naprzód i rzekł:

— Najmiłościwszy monarcho! Najpożyteczniejsze są: deszcz w dzień Św. Jerzego i rosa w dzień Trójcy Św.

Król zdziwił się bardzo i rzekł: .

— Mądre twoje słowa, starcze, ale nie chce mi się wierzyć, ażebyś je sam wymyślił. Nikt dotąd nie potrafił mi tak odpowiedzieć. Jeżeli ci życie miłe, mów, kto ci tę radę podszepnął i czy cię drogo to kosztuje?

— Najmiłościwszy panie! Jam człowiek biedny i nie mam czem płacić. Jedyne moje bogactwo — to córka jedynaczka. Ona mi właśnie poradziła dać taką odpowiedź.

— Skoro masz taką mądrą córkę, powiedz-że jej: niech z jednej wiązki lnu naprzędzie i utka koszul dla całego mojego wojska. Jeżeli tego nie spełni, to da gardło.

Starzec poszedł do domu jeszcze smutniejszy, niż przedtem. Córka czekała nań i wyszła naprzeciw niego. Spostrzegłszy, że wraca zdrów i cały, zdziwiła się bardzo, że jest zamyślony i pyta, co się stało?

— Dziecino droga — odparł starzec — głowa mi ocalała, ale martwię się więcej, niż przedtem. Gdy odpowiedział królowi tak, jak mi poradziłaś, kazał mi zaraz powiedzieć sobie, kto mi taką radę podszeptał. Mądra masz córkę, rzekł. Powiedz-że jej, niech z jednej wiązki lnu uprzedzie i utka koszul na całe moje wojsko. Wykonać tego niepodobna, przepadła tedy biedna twoja główka!

Dziewczyna roześmiała się i jęła pocieszać ojca.

— Idź, ojczu, do króla, pokłoń mu się ode mnie i powiedz, że jeżeli on z tego pierścionka wykuje mi samoprządkę, to ja utkam z jednej wiązki lnu koszul dla jego armji.

Starzec wziął pierścioneł i ze smutkiem powlókł się do dworu.

Król bardzo się ubawił sprytem dziewczęcia.

— Powiedz twej córce, ażeby przybyła do mnie, ani na koniu, ani pieszo, ani goła, ani ubrana, ani bosa, ani obuta. Jeżeli tak nie będzie, to straci głowę.

Starzec jeszcze smutniejszy powrócił do domu. Córka wyszła na jego spotkanie i zaczęła pytać.

— Och, dziecinko, nauczyłaś mnie tylko na własną zgubę. Teraz król chce, ażebyś doń przybyła ani na koniu, ani pieszo, ani naga, ani ubrana, ani bosa, ani obuta. Ój, nie ocalisz swej główki!

— Bądź spokojny, ojczu: głowy nie stracę. Zrób mi tylko jedną przysługę: idź do lasu i przynieś mi trzy żywe zające; a reszta to już rzecz moja.

Stary poszedł do lasu, a dziewczyna wzięła się do przędzenia sieci, jakiej rybacy używają do łowienia ryb.

Gdy sieć była gotowa, dziewczyna otuliła w nią swoje ciało, na jedną nogę włożyła pończochę, na drugą trzewik drewniany i osiodłała barana.

Gdy starzec przyniósł jej trzy zające, przywiązała je do siodła, pożegnała się z ojcem, wsiadła na barana i udała się w drogę.

Król siedział w pałacu i myślał, czy też dziewczyna wypełni jego zadanie. Nie miał cierpliwości na doczekanie się jej przybycia i wysłał gońców na drogę, iżby patrzyli, czy kto nie idzie do dworu. Słudzy wrócili z oświadczeniem, że idzie jakiś potwór.

— Jak wygląda? — zapytał król.

— Wygląda niby człowiek, cały omotany w sieć rybącką, a siedzi na baranie.

Król domyślił się, że to córka starca i kazał puścić sforę psów, ażeby ją rozdarły.

Spuszczone psy rzuciły się ku dziewczynie, ale ona nie straciła przytomności umysłu, odwiązała zająca, zając pocwałował do lasu, psy za nim i dziewczę spokojnie jechało dalej.

— Cóż się stało z potworem? — zapytał król.

— Oto już go widać, — odpowiedzieli słudzy.

— Spuście drugą sforę!

Spostrzegłszy, że znowu psy biegną, dziewczyna odwiązała drugiego zająca. Zając puścił się do lasu, a psy za nim. Uwolniwszy się od niebezpieczeństwa, dziewczyna jechała dalej.

— Co się stało z potworem? — pyta król.

— Już wjeżdża na dziedziniec, — odparli słudzy.

— Wypuście trzecią sforę, ażeby mi ten potwór znikł z oczu.

Słudzy spełnili rozkaz. Psy rzuciły się na dziewczynę, gdy spokojnie, omotana siecią, podążała na swoim baranie na dwór królewski.

Nie tracąc odwagi, wypuściła trzeciego zająca, a gdy psy pocwałowały za nim, zeszła z barana i prowadząc go za sobą, zbliżyła się przed bramę pałacu.

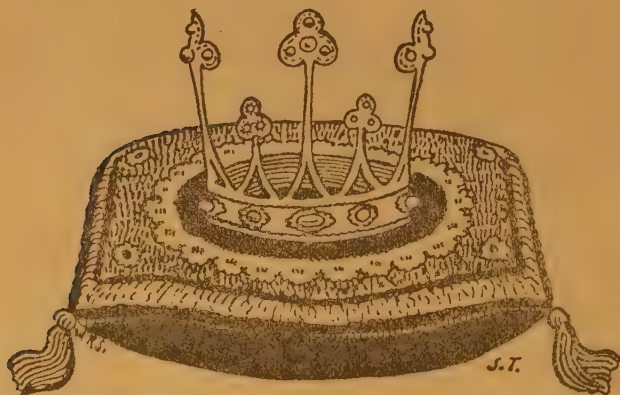
Król tak był oszołomiony tym widokiem, że zerwał się z miejsca, a dziewczyna, przywiązawszy barana, usiadła na jego miejscu. Król ze zdziwienia stracił dar słowa;

ażanim odzyskał równowagę umysłu, dziewczyna ozwała się śmiało i swobodnie:

— Jak widzisz, królu, spełniłam twoją wolę. Jestem u ciebie ani na koniu, ani pieszo, ani naga, ani ubrana, ani bosa, ani obuta. Czy jesteś ze mnie zadowolony?

— Mądrą masz głowę, dziewczyno, — odparł król. — W całym mojem państwie nikt nie mógł mnie pokonać w rozumie, aż oto znalazła się niewieścia główka, która mnie przemądrzyła. Wiesz jednak, że ciała o dwóch głowach nie bywa, rządzić musi jeden, a drugi pomagać mądrymi radami.

— Zgoda; posyłaj swatów do ojca.



Królowi bardzo się spodobała mądra i śmiała dziewczyna. Powierzył ją damom dworskim, które zajęły się jej toaletą; umyły, uczesały, ubrały w bogate szaty; i dziewczę stało się piękniejsze od różanego słoneczka.

Tymczasem król posłał swatów do ojca narzeczonej i przygotował się do przyjęcia go z honorem. Gdy starzec



wstąpił na dwór królewski, na jego spotkanie wyszedł król pod rękę z jego córką i poprosił go o błogosławieństwo.

Rozpłakawszy się z radości, stary uściśnął córkę i zięcia i pobłogosławił obojgu.

Nazajutrz odbyły się śluby monarsze. Król i królowa długo żyli i mądrze zarządzali swoim państwem. Ojciec królowej zamieszkał w pałacu i żył tam do samej śmierci.

### SŁOWIK I KUKUŁKA.

Raz, w lesie, śpiewał słowik. Kukułka słuchała, słuchała i jęła uragać słowikowi:

— Czego się drzesz i gwizdzesz po całych dniach i nocach? Uprzykrzyłeś się i góróm i wodom!

— To ci się zdaje, czarna kukułko, — odparł słowik. — Moje słodkie pieśni rozweselają ludzi i rozpraszają im smutki. A ty — kukasz tylko i kukać będziesz do skończenia świata.

— Czy tak, maleńki śpiewaku? Czekajże, będziemy śpiewali po kolei i przekonamy się, kto się bardziej spodoba.

Słowik przystał na to. Gdy zaśpiewał, pasterze na łące i oracz na polu ucichli i zaczęli go słuchać; a gdy zakukała kukułka, wszyscy wzięli się do swojej roboty. Jeden osieł, zadarłszy łba do góry, ryknął:

— Brawo, brawo, kukułko! Jak mile i swobodnie śpiewasz! Rozweseliłaś i góry i doliny.

Słowik obraził się i przestał śpiewać.

Pasterze i oracze zaczęli go pocieszać.

— Nie bądź głupi. Czy nie wiesz, że kogo osieł pochwali, ten się poniży, a kogo gani, ten wywyższon będzie!

## 12. BAJKI SŁOWEŃSKIE.

### JAK SOBIE POŚCIELISZ, TAK SIĘ WYŚPISZ.

Żył sobie dwóch braci: jeden bogaty, ale zły i znie-  
nawidzony przez wszystkich; drugiego lubiła cała wieś za  
pocziwość i usługowość, ale był on bardzo biedny i często  
z rodziną głodem przymierał.

Pewnego razu, wyczerpany z głodu, udał się biedak  
do brata z prośbą o chleb. Ale brat nie dał mu ani okru-  
szynki, wypędził i naurągał. „Ty taki-siaki, mam cię żywić,  
ruszaj precz!”

Odszedł biedak, opuściwszy głowę na piersi; stare  
ubranie nie grzało; drżał z zimna i ledwie szurał nogami  
z głodu. Nie rażno mu było wracać do domu, gdzie marzły  
zgłodniała żona i dzieci. Poszedł do lasu. Znalazł tam pod  
gruszą ulegalki. Licha to była strawa, ale biedak i nią się  
ucieszył. Zaspokoił głód; ale mróz doskwierał mu do ży-  
wego; na dobitek wiał ostry wiatr.

— Gdzie się przytulę, jęczał biedak! Co się stanie  
z nieszczęsną moją rodziną! Jedyne człowiek, którego obo-  
wiązkiem było mi dopomóc, wypędził mnie.

I oto przypomniał sobie biedaczysko, że na Górze  
Szklanej, według podania ludu, płonie wieczny ogień.  
Spragniony ciepła, poszedł tedy na Górę Szklaną.

Zdaleka ujrzał na szczycie Góry Szklanej wielkie  
ognisko a przy niem dwunastu cudacznym mężów. Biedak  
złakł się zrazu, poczem pomyślał: „Czegoż się lękam, ze  
mną Pan Bóg!”... Poszedł na górę, zbliżył się do ognia  
i złożył ukłon dwunastu mężom.

— Dobrzy ludzie, zlitujcie się nade mną, biednym bardzo i nie mam nawet gdzie się ogrzać. Pozwólcie, że się ogrzeję przy waszem ognisku.

Mężowie spojrzeli na nieznajomego i jeden z nich oświadczył głosem poważnym i uroczystym :

— Siadaj, dobry człowieku, między nami i ogrzej się.

Biedak usiadł i zauważył, że wszyscy przesiadają się jeden na miejsce drugiego, tworząc tym sposobem koło. Wszyscy milczeli; biedak także milczał. Gdy obeszli dookoła ognia i każdy znalazł się na tem miejscu, od którego zaczął, z ognia powstał wysoki starzec z siwą brodą i zwracając się do biedaka, rzekł :

— Człowieku, nie trać czasu, nabierz węgla, idź do domu i pracuj na zdrowie.

Starzec znikł, a dwunastu mężów jęło zsypywać węgle do worka, zwalili go biedakowi na plecy i rzekli, ażeby coprędzej wracał do domu. Podziękował biedak i odszedł. Pomyślał sobie, żeby tylko węgle nie przypaliły worka, ale nie czując czadu spalenizny, uspokoił się i dziwił się tylko, że worek był tak lekki, jak gdyby nie węgle w nim były, lecz popiół. Wyobrażał sobie, jak będzie ciepło w chacie i cieszył się.

Przyszedłszy do domu, biedak wysypał węgle do kosza i nagle... O dziw nad dziwy! Zamiast węgla, posypały się z worka dukaty. Biedak nie wierzył własnym oczom i z radości o mało nie stracił rozumu. Jakże był wdzięczny swoim dobrodziejom! Przyszedł więc kres jego niedoli!

Pragnąc zmierzyć swoje bogactwo, ex-biedak posłał żonę do brata po miarę. „Na co wam, goljatom, miara?“ — zapytał zły brat. Żona oświadczyła, że sąsiad winien im być trochę zboża i zwrócił im dług; trzeba więc przemierzyć. Bogacz, oczywiście, nie dał wiary, ażeby jego bratu mógł być kto winien, więc nieznacznie wysmarował dno miary smołą i wręczył ją szwagrowej.

Zmierzywszy pieniądze, brat młodszy poszedł odnieść miarę, ale nie spostrzegł, że do dna przylepił się dukat. Starszy brat zaraz spostrzegł dukata i przyszło mu na myśl, że młodszy dopuścił się zbrodni. Wpada więc na niego z urąganiem i krzykiem, grożąc, że jeżeli brat nie powie mu całej prawdy, skąd wziął pieniądze, to zadenuncjuje go jako zabójcę. Cóż miał robić biedak? Nie chcąc klócić się z bratem, opowiedział mu z całą otwartością o swojej przygodzie na Górze Szklanej.

Starszy brat miał wszystkiego w bród, ale jednak pozazdrościł młodszemu. Gdy zaś młodszy nakupił bydła, wybudował dom i stał się wpływową osobą we wsi, starszy nie mógł wytrzymać i postanowił pójść na Szklaną Górę. „Udało się bratu, to i mnie się uda“, — pomyślał sobie.

Przyszedłszy na Górę, śmiało podszedł do owych dwunastu, siedzących przy ogniu.

— Dobrzy ludzie, pozwólcie mi się ogrzać. Mróz mi w chacie doskwiera, żeśmy wszyscy przemarzli.

Jeden z dwunastu odparł mu surowo :

— Urodziłeś się w szczęśliwym roku i masz wszystkiego podostatkiem. Ale skąpy jesteś i okrutny. Nie uda się tobie nas oszukać ; a zato, żeś się poważyl skłamać, spotka cię zasłużona kara.

Bogacz stał drżący na całym ciele i nie śmiał nic odpowiedzieć.

Dwunastu mężów zaczęło przechodzić z miejsca na miejsce, a gdy obeszli dookoła, powstał starzec z siwą brodą i zawołał grobowym głosem :

— Iżeś zły, niechże złe cię dotknie ; twój brat człowiek dobry i dostał to, na co zasłużył. Ty także otrzymasz wedle zasług.

Starzec znikł w ogniu, a jeden z dwunastu, pochwycił bogacza, uderzył go, następnie oddał drugiemu, drugi trze-

ciemu i tak do dwunastu. Bogacz wrócił do domu zbity, długo chorował, ale o tem, co zaszło, oczywiście nie mówił nikomu.

### SYN RYBAKA.

Na brzegu Dunaju żył bogaty obywatel i miał własnego rybaka. Sprosił on pewnego razu gości i kazał rybakowi w trzy dni nałapać dużo ryb.

Trzy dni i trzy noce spędził rybak na Dunaju, ale jak naumyślnie nic nie złapał. Pod wieczór trzeciego dnia, smutny i zamyślony wraca do domu. W tej chwili przybiła do brzegu łódka, a w niej — człowiek ubrany w zieloną odzież.

— Dlaczegoś taki smutny? — zapytał zielony człowiek; a gdy rybak wytłumaczył mu powód, zielony człowiek rzekł: — Przysięknij mi to, o czem nie wiesz, a co masz i dziś jeszcze nałapiesz tyle ryb, ile ci potrzeba.

— Jeżeli mam to, o czem nie wiem, to musi to być napewno jakaś bagatelka — pomyślał rybak; przysięknął tedy to, czego żądał dziwny człowiek i tegoż wieczoru nałapał tyle ryb, że na czterech wozach z trudnością dały się uwieźć.

Gdy się to stało, zielony człowiek zapytał:

— A czy ty wiesz, coś mi obiecał?

— Skądże mogę wiedzieć?

— Podczas twojej nieobecności, urodził ci się syn. Jegoś to mnie obiecał. Za dwadzieścia lat przyjdę po niego.

W istocie. Rybak za powrotem do domu zastał w kołysce ślicznego chłopca.

Gdy chłopiec podrośł, oddano go do szkoły, gdzie tak się dobrze uczył, iż mógłby stać się księdzem. Ale oj-



ciec, wiedząc, co oczekuje syna, postanowił oddać go na naukę do czarnoksiężnika.

Po skończeniu nauki, młodzieniec stał się tak zręczny, że mógł zgadywać i przeszłość i przyszłość.

— Ojciec — rzekł — już czas mi odejść.

— Dokąd?

— A czy nie pamiętasz, komuś mnie obiecał przed dwudziestu laty? Idź ze mną i nie bój się; ani mnie ani tobie nic się złego nie stanie.

Zaledwie syn z ojcem przyszli nad Dunaj, wnet przypłynęła łódka z zielonym człowiekiem. Syn wszedł do łódki, łódka dała nurka i znikła. Teraz, gdy zmartwiony ojciec powracał do domu, syn, płynąc pod wodą, dotarł do zakłętego podziemia, gdzie nigdy noga ludzka nie powstała. Uczuwszy głód, nałapał ryb, ugotował, najadł się i położył się spać.

Obudziwszy się, poczuł, że musi wstać, iść do jakiegoś zamku, a tam usiąść przy stole, pozapalać świece i czekać. Tak też i zrobił. Około północy, drzwi się otwały, wpęzła olbrzymia żmija i stanęła przed młodzieńcem.

— Pocałuj mnie — rzekła żmija, podnosząc wstrętny łeb do góry.

— Odejdź ode mnie, szatanie! — zawołał młodzian — ty nie masz władzy nade mną.

Żmija znikła. Nazajutrz po południu, młodzian zasnął i poczuł we śnie, że musi pocałować żmiję. Ale gdy żmija przybyła jeszcze straszniejsza, dwugłowa, młodzian nie miał sił do przemożenia wstrętu i nie pocałował jej.

Na trzeci dzień coś mu kazało bezwarunkowo pocałować żmiję. Z mocnem postanowieniem spełnienia tego rozkazu, młodzian doczekał się nocy, usiadł przy stole i zapalił świece. O północy zjawiła się żmija jeszcze straszniejsza, trzygłowa...

— Pocałuj mnie!



Zaledwie młodzian zdążył się pochylić i pocałować trzy wstrętne łby żmii, w jednej chwili na miejscu jej ukazała się prześliczna dziewica. Była zaczarowana, a z nią całe miasto. Teraz wszystko ożyło i jęło się radować. Przyszli rodzicę dziewczicy i jęli gorąco dziękować wybawcy córki.

— Oddaję ci córkę i całe moje bogactwo, — rzekł ojciec: — czyś zadowolony?

Młodzieniec zamyślił się i odrzekł:

— Wszystko mi się tu podoba i chętnie bym tu został. Ale ojciec mój na Dunaju przypuszcza, że się dostał do piekła. Gdybym mógł odwiedzić ojca i uspokoić go, byłbym zupełnie szczęśliwy.

— Gdybym była pewna, że wrócisz — rzekła dziewica — tobym ci dała taką rzecz, iż w jednej chwili znalazłbyś się w domu.

Młodzian przyrzekł, że wróci. Wtedy dziewica dała mu pierścień z temi słowy:

— Spójrzj przez pierścień i pomyśl tylko o domu, a zaraz się tam znajdziesz. Gdy zatęsknisz po mnie, zrób tak samo, a będziesz tutaj. Będę siedm lat czekała na ciebie.

Ogromnie ucieszył się rybak i jego żona, spostrzegłszy syna zdrowo i cało. Zaczęli go wypytywać i musiał im opowiedzieć wszystko, jak było od początku do końca. Potem ojciec zaprowadził go do swego pana, u którego był jeszcze ciągle rybakiem. I tam młodzieniec musiał opowiadać swoje przygody. Pan miał dwie córki.

— Bierz którąkolwiek i część mojego majątku — rzekł do młodzieńca, który bardzo mu się spodobał.

— Tam czeka na mnie całe królestwo i narzeczona o wiele piękniejsza — odparł młodzian. — Ale mogę po- być u pana przez czas pewien, bo mam możność powrotu, kiedy mi się spodoba.

Pewnego razu, przechadzając się z pannami pochwalił się swoim czarodziejskim pierścieniem.

— Gdybyśmy tak mogły wykraść mu ten pierścień, to zostałby u nas — pomyślały dziewice.

I usiadłszy z nim w cieniu drzew, uspiły go swemi piosnkami, wzięły pierścień i zapewniły go, że zgubił pierścień w drodze.

Przebywszy u nich pięć lat, młodzian zateśknął i postanowił udać się na poszukiwanie podziemnego miasta.

Szedł, szedł i przyszedł do lasu. Widzi jakiś budynek; wprosił się na nocleg.

W domu była tylko jedna kobieta.

— Chętniebym cię przyjęła — rzekła doń — ale mieszkam z braćmi, a to są rozbójnicy; powrócą i zabiją cię.

— Nie bój się. Przynieś mi wina; zaczekam na nich.

Około północy, bracia rozbójnicy powrócili do domu.

— Coś ty za jeden?

— Albo ja wiem; ot, włóczęga, łażę sobie po świecie.

— A skąd rodem?

— Sam nie wiem; jestem bezdomny, nie mam gdzie się przytulić.

— A jak się nazywasz?

Młodzian, dzięki swojej umiejętności czarnoksiężskiej, wiedział, że zbójcy stracili jednego brata; znał jego imię i wymienił je.

— Czy aby nie jesteś naszym bratem, któregośmy stracili kilka lat temu?

— Bardzo być może.

Bracia rozbójnicy zaraz zmienili sposób postępowania, stali się uprzejmiejsi i jęli namawiać gościa, ażeby pozostał z nimi, wychwalając swoją wolność.

— A cóżecie dziś zdobyli?

— Dużo, jak nigdy! Oto nasze łupy: buty, płaszcz i czapka. W tych butach przejdiesz dwieście mil w pół

godziny, płaszcz zrobi cię niewidzialnym, a włożysz czapkę, to każda góra otworzy się przed tobą.

— Czy podobna?

— Święte słowo. Spróbuj, jeżeli nie wierzysz.

Włożywszy na siebie buty, płaszcz i czapkę, syn rybaka tak podskoczył, że ziemia drgnęła, on zaś znikł bez śladu.

Przedewszystkiem udał się do słońca, na to miejsce, gdzie ono wstaje. Słońce przez cały dzień chodzi po świecie — myśli syn rybaka, wie przeto napewno, gdzie miasto podziemne.

Słońce odpowiedziało, że nigdy nie zagląda do głębi wąwozów i poradziło młodzieńcowi zwrócić się do księżyca.

Księżyc powiedział, że także głęboko nie sięga i poradził mu zwrócić się do wiatru.

Wiatr odparł, że w istocie hula po wszystkich dziurach i wie oczywiście, gdzie jest miasto podziemne.

— Ja i dziś tam będę — dodał wicher. — Królowna wychodzi za mąż, a ja będę owiewał ucztujących, ażeby im nie było gorąco.

Syn rybaka połączył się z wiatrem i raniutko udali się w drogę.

Zbliżyli się do góry. Wiatr fyrknął w taką szparę, w którą człowiek nie mógłby się za nic przedostać.

Młodzian włożył czarodziejską czapkę, góra się rozwarła i wkrótce podróżny znalazł to, czego szukał.

Orszak weselny był już w kościele; ceremonia zaczęła się.

Syn rybaka wszedł w czarodziejskim płaszczu, nie spostrzeżony przez nikogo.

Uderzył w modlitewnik, trzymany przez księdza w rękę i książka wypadła na ziemię.

— Jedno z was jest wielkim grzesznikiem — rzekł ksiądz do państwa młodych.



I panna młoda przyznała się zaraz, że przyrzekła swemu zbawcy czekać przez lat siedm i nie dotrzymała obietnicy.

Ksiądz oświadczył, że powinna wyczekać do oznaczonego terminu i przerwał ceremonję.

Panna młoda rzekła, iż z całego serca gotowa jest czekać, ale nie spodziewa się, ażeby jej poprzedni narzeczony powrócił kiedykolwiek.

Radośnie zapili serce młodzieńca. Gdy goście się rozeszli i panna młoda z ojcem powróciła do domu, zrzucił płaszcz i wszyscy go poznali.

Narzeczona uściskała go serdecznie i rzekła:

— Strach pomyśleć, że mogłam być wyjść zamaż za innego; i byłoby się to stało, gdyby nie siła wyższa!

Niebawem wyprawiono wesele huczne na świat cały.





## SPIS RZECZY.

### 1. BAJKI BOŚNIACKIE, str. 6

Bracia bohaterowie

Iwo i Anica

Śmierć głodowa

Żebraczka

Złe oko

### 2. BAJKI BUŁGARSKIE, str. 18

Złote jabłka i dziewięć pawic

Tchórzliwy djabeł

Wielki Wezyr

Koło młyńskie

### 3. BAJKA CHORWACKA, str. 34

Cudowna kłódka

### 4. BAJKI CZESKIE, str. 41

Droga do szczęścia

Złote źródło

Wodnik pod skałą wyszehradzką

### 5. BAJKI KASZUBSKIE, str. 56

O trzech braciach

Rozmowa zwierząt

### 6. BAJKI ŁUŻYCKIE, str. 62

Pomyślny dzionek

Djabeł i żebrak

### 7. BAJKI MORAWSKIE, str. 69

Dlaczego psy z kotami, a koty z myszami nie-  
ustanny bój toczą

Dobry humor to skarb nieoceniony

Głupi Jasiek

8. BAJKI POLSKIE, str. 77

Wilk i człowiek

Lis i gęsi

Koń, wół, kogut, kot i rak

Stolik „nakryj się“, złoty osiel i kij samobij

Białośnieżka

Chłop i bies

Wydeptane trzewiki

Wybredny parobczak

9. BAJKA ROSYJSKA, str. 111

Sprawiedliwa różga

10. BAJKI RUSKIE, str. 127

Trzy pieśni

Dobre dzieci

Na kogo Bóg się pogniewa, temu i ludzie nie pomagą

11. BAJKI SERBSKIE, str. 139

Uczciwy zarobek nie przepada

Co jest najpożyteczniejsze na świecie

Słowik i kukułka

12. BAJKI SŁOWEŃSKIE, str. 148

Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz

Syn rybaka







U.C. BERKELEY LIBRARIES



C096413709

